

W numerze: ANDRZEJ MAKOWIECKI *Szukam hrabiego* ● ZOFIA LORENTZ *Sprawdzili* ● HORACY SAFRIN *Kultura na wesoło* ● Akcja trzeciego batalionu ● W Łodzi była „Love story” ● Zewsząd o wszystkim ● Recenzje ● Felietony ● Nowela kryminalna

# Łódź



11 (747)  
12. III. 1972 r.  
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV

KONRAD TUROWSKI

## NASZ PROGRAM -NASZA SZANSA

SPOTKANIE  
CZŁONKA BIURA POLITYCZNEGO  
SEKRETARZA KC PZPR  
JANA SZYDLAKA  
Z ŁÓDZKIMI WYBORCAMI

Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej — to hasło i myśl przewodnia Uchwały VI Zjazdu PZPR, która stała się platformą wyborczą Frontu Jedności Narodu. Ta zbieżność programu wyborczego z kluczowymi tezami programu działania partii, jest w pełni uzasadniona w naszych warunkach ustrojowych. Działanie partii, kierowniczej siły naszego narodu to przecież działanie dla narodu i jego dobra.

Pierwsze spotkania przedwyborcze mieszkańców Łodzi z kandydatami na posłów do Sejmu PRL stały się żywą ilustracją tych związków przenikających do wszystkich dziedzin naszego życia, wytyczających program wspólnego działania i determinujących możliwości jego realizacji.

Po raz pierwszy mamy kompleksowy program rozwoju kraju. Nie jest on naszpikowany setkami liczb, procentów i najrozmaitszych wskaźników, właściwie niewiele mówiących zwykłemu zjadaczowi chleba powszedniego. Zwraca za to uwagę na rzeczywiste węzłowe problemy rozwoju Polski, określa kierunki pracy i metody realizacji naszych zamierzeń.

Program ten jest wynikiem naszych doświadczeń — tych dobrych i tych złych. Określa nie tylko drogi poprawy naszego życia, ale jednocześnie sposoby eliminowania narosłych nieprawidłowości, hamujących rozwój kraju.

Pośród spraw wymagających możliwie szybkiej naprawy, wymienia się, na jednym z pierwszych miejsc, problemy związane z planowaniem, zarządzaniem i kierowaniem. Dotyczy to nie tylko sfery gospodarczego działania, ale również administracji. Jeden z łódzkich kandydatów na posłów mówił, że niedawno zadał sobie trud skompletowania zarządzeń i przepisów, które powinien znać i uwzględnić w swoim działaniu sekretarz prezydium gromadzkiej rady narodowej. Zamknął ten rejestr aż tysiącem pozycji!

Dalszy ciąg na str. 5



Fot. E. Kudań

21 lutego br. w Komitecie Łódzkim PZPR odbyło się spotkanie dyskusyjne na temat roli i funkcji teatrów łódzkich w życiu kulturalnym miasta. W spotkaniu wzięli udział: sekretarz KL PZPR — Jerzy Chabelski, przedstawiciel Wydziału Kultury KC PZPR — Zygmunt Jagielski oraz przedstawiciele środowiska twórczego łódzkich teatrów. Wprowadzenie do dyskusji wygłosił kierownik Wydziału Propagandy i Agitacji KL PZPR — Zbigniew Faliński.

Uznając wagę tego spotkania, redakcja zamieszcza sprawozdanie z dyskusji i zaprasza Czytelników naszego pisma do wypowiedzenia się na temat poruszanych spraw, tak bardzo żywnych dla rozwoju kulturalnego Łodzi.

ANDRZEJ HAMPEL

## O TEATR ZAANGAŻOWANY

**D**YNAMIZM charakteryzujący nasze życie społeczne od grudnia 1970 roku, tworzy nowy klimat także dla twórczości kulturalnej. Członek Biura Politycznego, sekretarz KC — Józef Tejcma w jednym z wywiadów mówił: „Nowy klimat nie jest programem dla kultury, jest tylko warunkiem jej rozkwitu, jest czynnikiem wyzwalającym nowe inicjatywy twórcze”.

Teraz, gdy do lamusa idą administracyjne zakazy, gdy w polityce kulturalnej przyjęto zasadę konsultacji i dyskusji ze środowiskami twórczymi, gdy uznano potrzebę opracowania wieloletniego programu rozwoju kultury polskiej i teatr może zająć należne mu miejsce w procesie dialogu społecznego.

O stanie, potrzebach i przyszłości teatru łódzkiego dyskutowano

już wielokrotnie, przybierając, w zależności od rozmaitych okoliczności, już to tony jeremiady, już to radosnego samozachwycenia. Prawda od lat leżała gdzieś pośrodku. Nie wymagała może katastroficznego rozzdzierania szat ale też nie zasługiwała na entuzjastyczne owacje. Mieliśmy teatr po prostu średni i letni, od czasu do czasu

Dalszy ciąg na str. 3



Zewsząd o wszystkim

## Azjatyckie plany ChRL

„FAR EASTERN ECONOMIC REVIEW” — HONGKONG

Znowu nasze zainteresowanie kieruje się w stronę Bliskiego Wschodu. Wydarzenia ostatnich dni — ataki wojsk izraelskich na południowej części Libanu i Syrii — przypominają o istnieniu nierozwiązanego problemu, który w każdej chwili może eksplodować. Tel Awiw nadal bowiem ignoruje pokojowe wysiłki, których celem jest uregulowanie konfliktu izraelsko-arabskiego. Pod koniec ub. tygodnia wojowniczy gen. Dajan w swym przemówieniu przed kamerami telewizyjnymi właścicielce postawił dwóm atakowanym ostatnio krajom arabskim wyraźne ultimatum: albo Bejrut i Damaszek położą kres działalności komandosów palestyńskich, albo wojska izraelskie wkroczą na terytoria tych krajów.

Izraelczycy wysuwają te żądania nie dlatego, że znajdujący się tam partyzanci stanowią zagrożenie dla izraelskich osiedli. Wydaje się im, iż nadszedł moment, w którym można domagać się przede wszystkim od rządu Libanu poskromienia Palestyńczyków, wykazać, że droga do rozwiązania problemu wiedzie tylko przez Tel Awiw.

Na tle ostatnich wydarzeń zwraca uwagę komentarz Hajkala w „Al Ahvam”. Czytamy tam m. in.:

„Powinniśmy uświadomić sobie, że ani siła, którą dysponujemy, ani oczywiście okoliczności nie są dla nas sprzyjające do użycia siły. A zatem jedyną realną alternatywą jest pokojowe rozwiązanie, które stanowi połączenie wielu elementów, w tym wykorzystania siły, pozycji ekonomicznej, dyplomatycznych rozmów i środków propagandowych”.

Skoro już mowa o środkach dyplomatycznych — podkreślmy, że amb. Jarring spotkał się właśnie w Nowym Jorku z przedstawicielami stałych członków Rady Bezpieczeństwa i w rozmowie z nimi wyraził przekonanie, że będzie mógł kontynuować wymianę poglądów z przedstawicielami Egipskiej Republiki Arabskiej i Izraela w siedzibie ONZ. Czy ze skutkiem — wykaże przyszłość.

\* \* \*

W polu widzenia komentatorów politycznych w dalszym ciągu utrzymuje się chińska podróż prez. Nixona. Duukrotnie już omawiana przez niego samego — doczekała się również komentarza Departamentu Stanu. Jest w nim mowa o tym, że „podróż prezydenta już obecnie zmienia w sposób zasadniczy charakter stosunków między USA a ChRL”. Oba kraje bez pośpiechu i na pewno w sposób wyważony będą dążyły do rozbudowy tych fundamentów, jakie już zostały założone między Pekinem a Waszyngtonem.

Departament Stanu zaprzeczył stanowczo, iż w toku pekińskich rozmów USA zaprzędały interesy Tajwanu. Dodał jednak, iż w miarę jak będzie malał udział Stanów Zjednoczonych w wojnie indochińskiej — będzie można wycofywać wojska także z Tajwanu. Obserwatorzy polityczni przewidują, że Nixon w najbliższym czasie wyśle Rogersa do zachodniej Europy w celu poinformowania sojuszników o wynikach chińskiej podróży. Jest to konieczne, ponieważ przebieg rozmów w Pekinie pozostawił szereg niedomówień.

Zauważmy jeszcze jeden fakt: Ministerstwo Handlu USA wyraziło pierwszą po wizycie Nixona zgodę na transakcję handlową z Chinami. Dotyczy ona budowy fabryk włókien sztucznych oraz sprzętu, zapewniającego bezpieczeństwo komunikacji lotniczej i kolejowej. Wartość tej transakcji szacuje się na ok. 10 mln dolarów.

Liczne w ostatnim okresie wypowiedzi Nixona i jego współpracowników na temat problemów Wietnamu oraz pokoju w Azji i na świecie skomentowane zostały jednoznacznie na łamach „Nhan Dan” — organu KC Partii Pracujących Wietnamu.

„W tym samym czasie, kiedy składano te oświadczenia — pisze „Nhan Dan” — Nixon zarządził nasilenie ataków lotniczych na obie części Wietnamu. Wietnam Północny był codziennie przedmiotem ataków bombowców „B-52”, zrzucających tysiące ton bomb, zaś Wietnam Północny był wielokrotnie atakowany przez samoloty USA w ramach tzw. reakcji ochronnej. Oto jak Nixon pracuje na rzecz pokoju i samookreślenia narodów Indochin”.

\* \* \*

W Bonn w dalszym ciągu toczy się batalia o ratyfikację układów ze Związkiem Radzieckim i Polską. Właśnie trzydniową dyskusję zakończyła Komisja Prawna Bundestagu, w bieżącym tygodniu prowadzi ją raz jeszcze Komisja Spraw Zagranicznych.

Tymczasem jeden z deputowanych SPD — Hupka przeszedł do CDU, o innych mówi się, że opuści szeregi FDP. W ten sposób koalicja rządowa miałaby w Bundestagu dokładnie tylko tyle głosów, ile trzeba, aby na forum parlamentu zapewnić układom absolutną większość. Gdyby z jakichkolwiek powodów zabrakło wówczas na sali choć jednego deputowanego koalicji — układy mogłyby nie uzyskać poparcia, co byłoby równoznaczne z wcześniejszym rozpisaniem wyborów.

O takiej ewentualności wspominał przed kilku dniami także R. Barzel, stwierdzając, iż wówczas dopiero wykryłaby się dramatyzująca sytuacja.

Część prasy zachodniemieckiej dramatyzuje sytuację rządu Brandta, pisze o kryzysie, dymisji i raty... Wszystko to obliczone jest na sianie paniki w trudnym okresie przedratyfikacyjnym. Opozycja uderza coraz mocniej, mając przekonanie, że polityka wschodnia rządu ma w społeczeństwie znacznie pełniejsze poparcie niż w jego reprezentacji w Bundestagu. Sytuacja w NRF jest bardzo ciekawa i dlatego ta tematyka z pewnością przez pewien czas pozostanie stałym komponentem naszych przeglądów wydarzeń.

W. SŁAWSKI

otaczania ich pierścieniem krajów, zależnych ekonomicznie od Japonii.

Chińska propaganda przygotowuje grunt do walki o wpływy regionalne, choć nie wykluczone, że Pekin ma na widoku i bardziej delikatne cele. Wykorzystując niezręczną politykę USA, pekińscy stratedzy mogliby podjąć próbę skłócenia Waszyngtonu i Tokio, by pochnąć Japonię do współpracy z Chinami. Mogą przy tym spekulować na fakcie, że Japonia zapłaciła niemałą cenę za zależność od Waszyngtonu. Nie wykluczone, że Pekin spróbuje przekonać Japończyków, że ekonomiki: japońska i chińska dopełniają się wzajemnie, że Chiny mogłyby się stać jedynym i łatwo dostępnym rynkiem dla japońskich towarów, proponując w zamian surowce i półfabrykaty. Takie wyjaśnienie pozwala zrozumieć, dlaczego Pekin — rzucając nieustannie obelgi na japoński ekspansjonizm — roz-

budza apetyty japońskich biznesmenów, zapraszając ich na kantoński rynek.

Byłoby błędem brać pekińską propagandę za dobrą monetę. Japonia była modelem dla wielu chińskich planów rozwojowych. Mao już w 1964 roku mówił: „Japonia jest wielkim krajem. Nie pozwoli ona amerykańskiemu imperializmowi rządzić sobą przez długi okres czasu”. Wielu z dzisiejszych przywódców pekińskich otrzymało wykształcenie w Japonii.

Czou En-laj oświadczył, iż pekiński port lotniczy jest otwarty dla każdego japońskiego pilota, który by zechciał odwiedzić Chiny. W Pekinie oczekuje się, że kiedy Sato odejdzie, i na czele rządu japońskiego stanie — z punktu widzenia Pekinu — człowiek bardziej „możliwy do przyjęcia”, wtedy Pekin, być może, znacznie jeszcze bardziej kuszący Tokio perspektywą chińsko-japońskiej współpracy ekonomicznej.

## „O czym mówiła Pani z Nixonem?”

Skrót wywiadu z premierem Indii — Indirą Gandhí.

— Opowiada się tu i ówdzie, jakoby Hindusi sprobowali niedawna wojnę indyjsko-pakistańską i napadli pierwsi. Proszę o kilka słów na ten temat.

— Istotnie, jeśli sięgnąć pamięcią daleko wstecz, to, przynajmniej, okazywałyśmy pomoc oddziałom Mukti Bahini. Jeżeli więc wyjść od tej pomocy, i od tego momentu, to rzeczywiście pierwsi zaczęliśmy my. Ale nie mogliśmy postąpić inaczej. Nie mogliśmy trzymać dziesięciu milionów uchodźców na naszym terytorium, nie mogliśmy znieść tak niebezpiecznej sytuacji w przetrzymywaniu jak długo czasu. Jednakże, rozpatrując początek wojny jako moment rozpoczęcia działań wojennych, to tutaj z całą oczywistością stwierdzam, że pierwsi zaczęli Pakistańczycy. Ich lotnictwo zaatakowało nas z nienacka, zbombardowało miasta.

— Wspomniała Pani o swojej podróży do Europy i do Ameryki z misją zażegnania konfliktu. Czy zechciałaby Pani powiedzieć, co wtedy się zdarzyło? Jaki przebieg miała pani rozmowa z Nixonem?

— Udawałam się w tę podróż wiedząc, że znajduję się w sytuacji owego chłopca, który próbował zapobiec powodzi, zatykając palcem dziurkę w tamie... Rozmawiałam z Nixonem otwarcie, oświadczyłam mu to, co już przedtem powiedziałam Heathowi, Pompidou i Brandtowi. Powiedziałam mu bez ogródek, że nie możemy pozostawać z 10 milionami uchodźców na kartku, że nie możemy spokojnie patrzeć, jak w tak wybuchowej sytuacji, kont tli się nadal. I Heath, i Pompidou, i Brandt doskonale mnie rozumieli. A właśnie Nixon — nie... Po- dejrzałam, że stoi na pozycji wyraźnej propakistańskiej. Co więcej, wiedziałam, że Amerykanie zawsze przychylnie odnosili się do Pakistanu, nie tyle z sympatią do tego kraju, ile z niechęcią do Indii.

Jednakże odniosłam w tym czasie wrażenie, że stanowisko USA ulega zmianie: nie w sensie, że staje się mniej propakistańskie, lecz że staje się mniej antyindyjskie. Omyliłam się. Moja wizyta u Nixona bynajmniej nie sprzyjała zapobieżeniu wojnie. Pomogła tylko mnie, Doświadczenie

nauczyło mnie, że jeżeli ludzie robią coś przeciwko tobie, to w ostatecznym rachunku wyjdzie ci to na korzyść.

— Wie Pan, dlaczego wygrałam w ostatnich wyborach? Tak, oczywiście, miałam po swojej stronie sympatię narodu, działałam nie opuszczając rak, ale jeszcze i dlatego, że opozycja zachowywała się wobec mnie w sposób niegodny. A wie Pan, dlaczego wygraliśmy tę wojnę? Oczywiście dlatego, że nasza armia potrafiła zwyciężyć, ale jeszcze i dlatego, że po stronie Pakistanu stali Amerykanie... — Wybaczy Pani, ale nie rozumiem.

— Zaraz wyjaśnię. Ameryka zawsze była przekonana, że pomaga Pakistanowi. Ale gdyby mu nie pomagała, byłby on krajem o wiele silniejszym. Nie można nazywać pomocą podtrzymywanie reżimu wojskowego, który dąwi wszelkie przejawy demokracji. Pakistan poniósł klęskę właśnie wskutek swego reżimu wojskowego, który podtrzymał Amerykanie.

— A Chińczycy? Po stronie Pakistanu byli i Chińczycy, a oni, zdaje się, są największym potencjalnym wrogiem Indii?

— Nie, nie widzę powodów, dla których my i Chińczycy musimy być wrogami. W każdym razie my nie chcemy być ich wrogami. A jeśli idzie o ich pozycję w tej wojnie... No, cóż, sadzę, że zachowali się przebieglej, niż Amerykanie... W każdym razie, gdyby chcieli, mogliby więcej zrobić dla Pakistanu...

— Zawsze głosiła Pani zasady polityki niewiązania się z żadnym blokiem, po czym, w sierpniu ub. roku podpisała Pani porozumienie o przyjaźni indyjsko-radzieckiej. Czy nie ma tu sprzeczności między jednym a drugim?

— Nie. Moim zdaniem — nie. Co oznacza niewiązanie się z żadnym blokiem? Oznacza to, że my nie należymy do żadnego ugrupowania wojennego i mamy prawo być przyjaciółmi każdego kraju. Wszystko to nie uległo zmianie po podpisaniu indyjsko-radzieckiego porozumienia. Inni mogą sobie mówić i myśleć o tym, co im się żywnie podoba.

— Co oznacza dla Pani słowo socjalizm?

— Sprawiedliwość. Oznacza sprawiedliwość, dążenie do życia w bardziej równoprawnym społeczeństwie.

Zewsząd o wszystkim

# O TEATR ZAANGAŻOWANY

Dalszy ciąg ze str. 1

(rzadko jednak) błyskający jaśniejszymi refleksami, od czasu do czasu (częściej jednak) porażający miernotą i kiczem.

Jak sytuacja wygląda dziś? Co przyniesie jutro?

Temat jest tak rozległy, że moje refleksje, na marginesie kilkugodzinnej dyskusji, nie mogą mieć ani charakteru przepowiedni, ani nie czuję się upoważniony do dawania recept i ocen. Pragnę, po wysłuchaniu kilkunastu interesujących, nierzadko owianych żarliwością głosów, dorzucić swój do wspólnej sprawy, która nazywa się: teatr łódzki.

Dyskutujemy w momencie ożywienia kultury łódzkiej w ogóle, kilku interesujących przedstawień, dość jasno określonych założeń artystycznych, poszczególnych scen, wreszcie dobrej sytuacji personalnej w teatrach. (Zygmunt Greń w ostatnim numerze „Życia Literackiego” pisze o Łodzi: „...w wyniku prowadzonych od dwóch lat zmian dyrekcyjnych w Łodzi powstało i nadal krystalizuje się środowisko ciekawych reżyserów i kierowników artystycznych, którzy swoją pracą nie chcieliby zdumiewać, lecz trafić”). Elementy te pozwalają mieć nadzieję, że impas zostanie przełamany, że np. po ambitnej premierze nie przyjdzie w tym samym teatrze szmirawaty niewypał.

O jakim więc teatrze wszyscy marzymy? Chcemy teatru — jak powiedział jeden z uczestników dyskusji — „...nie obejmującego wyłącznie rejestracji odruchów ludzkich”, wierzącego w wielkie cele. Nie wahajmy się użyć wielkich słów — teatru, szkoły edukacji narodowej — nie kokietującego, a odrywającego człowieka od przysłówiowego „Jelenia na rykowisku”, gipsowych figurek i papki mieszczańskiej. Trzeba nam scen zrywających z prezentowaniem półprawd w taniach, aczkolwiek efektownych opakowaniach, scen walczących, którym towarzyszy zamiar nie tylko odwzorowania i interpretacji tego, co postępuje, ale przede wszystkim czynne zaangażowanie w doskonalenie człowieka, wyrwanie go z letargu.

Chcemy także być widzami w teatrze, nie tylko wyrażającym sobą wszystkie procesy życia, ale także je przyspieszającym. Po prostu w takim, który towarzyszy człowiekowi i pogania go, ukazując świat bez łagodzenia i lakierowania, świat daleki jednocześnie od wszelkiej kalkomanii. Myślimy wszyscy o sztuce teatru ofensywnej, przesyconej sprawami uniwersalnymi, drążącej losy świata i ludzi, pomagającej tworzyć nowy sposób myślenia współczesnego człowieka, Polaka budującego socjalizm. Teatr nie jest zjawiskiem zawieszonym w próżni, odizolowanym od spraw i konfliktów społecznych. By nie stać się więc trupem musi łączyć treści i formę adekwatnie do potrzeb i przeżyć ludzi „hic et nunc”...

Dlatego też formuła teatru „przesładowa rzeczywistość”, zachęcającego do głupiej zabawy bez ryzyka i odpowiedzialności, uciążliwego konformizmu, czy też oddającego się „ekstremalnym dreszczom, ażeby w ten sposób, poprzez cielesne tortury, oswoić człowieka ze społecznymi usidłami” a więc teatru — minimum i teatru jałowego — jest formułą ha-

mującą rozwój sztuki. Sztuka prawdziwie współczesna, humanistyczna, otwarta na wszystkie wartościowe prądy awangardowe nie może się odciąć od przeszłości. Rewizja rodzimej tradycji teatralnej, sięganie do tego, co w niej cenne i nieprzemijające poznawczo i artystycznie, to także zadanie na dziś dla naszego teatru. W Łodzi zadanie to szczególnie ważne, bo (o paradoksie!) — jak twierdzili niektórzy uczestnicy dyskusji — klasyka przyjmowana jest przez widzów w naszym mieście dość opornie. Tyle spraw generalnych. W dyskusji dużo uwagi poświęcono problemowi poszczególnych scen, organizacyjnym i ekonomicznym niedomaganiom, potrzebie dynamiczniejszego współdziałania ze strony związków zawodowych i organizacji młodzieżowych, „konkurencyjnej” roli TV, widowni, krytyce teatralnej, powstawaniu grup aktorskich.

Zatrzymajmy się chwilę przy tych ostatnich. Są one w moim przekonaniu — z jednej strony wyrazem twórczego niepokoju i fermentu, z drugiej — owocem sytuacji kryzysowych w teatrach. Wskazują na to, że pewne indywidualności aktorskie czy reżyserskie nie mogą w swoich, by tak rzec, macierzystych teatrach znaleźć miejsca dla zrealizowania pewnych idei i pragnień, także z powodu lawiny papierkowych przepisów, sztywnych planów finansowych i repertuarowych. Grupują więc ludzi o podobnym typie wrażliwości, wspólnym odczuwaniu i języku artystycznym, mających wspólną ideę i pragnących powiedzieć widowni coś własnego i autentycznego. Dobrze się więc stało, że w czasie dyskusji udzielono im poparcia i kredytu zaufania.

Na koniec warto chyba uświadomić sobie raz jeszcze prawdę starą jak świat, że spotkania i dyskusje, choć warunkują właściwe rozpoznanie problemów, to nie stanowią ich rozwiązania. Skutki może przynieść tylko połączenie dyskusji z działaniem. Głosy padające 21 lutego w gmachu Komitetu Łódzkiego dowodziły, że uczestnicy spotkania świadomi są tej prawdy. Pozwalają też mieć nadzieję, że teatr łódzki wróci na pozycję znaczącą w geografii teatralnej kraju.

ANDRZEJ HAMPEL

ZBIGNIEW FALIŃSKI

Kierownik Wydz. Propagandy i Agitacji KŁ PZPR

Wprowadzenie do dyskusji

FRAGMENTY

Spotykamy się dzisiaj, aby pomówić o sprawach teatru, bogatsi o doświadczenia ostatnich lat i ostatnich miesięcy.

Dyskusja przedzjazdowa, oparta o nią Uchwała VI Zjazdu PZPR, wyraźnie określa funkcję kultury jako czynnika, który powinien przynosić wszystkie dziedziny naszego życia. Przekonujemy się o tym, dalszy postęp cywilizacyjny, nawet w tych jego, wydawałoby się, wyspecjalizowanych, kierujących się własnymi prawami przejawach, jak na przykład rewolucja naukowo-techniczna, nie jest na dłuższą metę możliwy, jeśli jego motorem nie są zintegrowane działania w sferach produkcji, techniki, nauki, właśnie kultury, oświaty, wychowania. Kultura w naszych przemysłach i działaniach coraz wyraźniej zyskuje rolę czynnika dynamizującego postęp społeczny i cywilizacyjny; powinien się on wiązać z tendencjami nowatorskimi, dążeniami do przełamania schematów myślowych i walką z filozofią dreptania w miejscu.

Jeśli mówimy o teatrze, mieszczą się w jego kręgu także m. in. rodzaje społecznego oddziaływania, jak utrzymanie w stanie stałego napięcia wrażliwości moralnej społeczeństwa, rozbudzanie aktywnej postawy w stosunku do przemian społeczno-politycznych, poszerzanie horyzontów intelektualnych. Należy więc wspierać wszelkie poszukiwania ludzi teatru, łączące wysoki poziom artystyczny z treściami kształtującymi świadomość społeczeństwa w duchu ideałów socjalizmu, dające odpowiedź na pytania, jakie niesie otaczający nas świat.

Nam chodzi o teatr, który wykazuje człowiekowi, że jest on istotą społeczną. Teatr, który rozbudza wyobraźnię widzów. Teatr, który kształci ich wrażliwość. Teatr, który uczy humanizmu. Teatr, który atakuje sumienia.

A także o teatr, który daje wytchnienie, odpoczynek, rozrywkę. Teatr, który powinien towarzyszyć ludziom w ich bardzo osobistych procesach związanych z uczestnictwem w rozwoju socjalizmu, ukazywać ich siłę i ich słabości. O teatr wielkiego społecznego zaufania, a nie małych społecznych wentyli. O twórczość skuteczną — nie doraźną, lecz długofalową.

Jak często posługujemy się enigmatycznymi sformułowaniami ty-

pu „specyficzna publiczność łódzka”, mającymi znaczyć „nie wyrobiona kulturalnie, oczekująca łatwin”. Warto by się głęboko zastanowić nad tym, na ile takie sądy wynikają z rzeczywistego, udokumentowanego przekonania na ile zaś mają usprawiedliwiać własne dążenie do uproszczeń. To prawda, że Łódź jest miastem o specyficznym składzie społecznym. Dość powiedzieć, że na 1.000 mieszkańców — w przemyśle pracuje tu 290 osób. Jest to najwyższy wskaźnik w kraju.

Widać z tego, iż w naszych programach kulturalnych powinniśmy szeroko uwzględnić oddziaływanie na klasę robotniczą, pamiętając, jednak, że do współczesnego robotnika nie można przykładać wyobrażeń i modeli z początków wieku XX.

Ponadto powinniśmy pamiętać o tym, że Łódź jest wielkim ośrodkiem akademickim, że zamieszkuje ją również rzesze inteligencji technicznej. Wszystkie te środowiska należy zdobywać dla teatru.

W jakich więc warunkach może dojść do autentycznie pożytecznego spotkania ludzi z obu stron rampy. Z całą pewnością nie wtedy, kiedy mamy do czynienia z konsumpcyjnym modelem życia, z serwowaniem i przyswajaniem stereotypów. Wtedy bowiem i teatr i widowie obracają się w błędnym kole łatwiny artystycznej, bezproblemowości i bezkonfliktowości. Sądymy, że autentyczny teatr powstaje wtedy, kiedy ma ambicję stymulowania i potrzeb artystycznych i procesów społeczno-ideowych w świadomości widzów.

Niezbędne wydaje się nam utworzenie w Łodzi teatru o charakterze ludowym, nawiązującego do tradycji teatru Wandurskiego i pewnych usiłowań Leona Schillera, teatru autentycznie masowego, umiającego przyciągać publiczność chłonną i wrażliwą, spontaniczną, ale nie rozsmakowaną jeszcze w bardziej wyrafinowanych, inscenizacyjnych i repertuarowych propozycjach. Potrzebny jest również Łódzi teatr adresujący swoje spektakle do publiczności bardziej już żyjącej ze sceną, umiającej ocenić i docenić spektakle, wymagające większej wrażliwości na formę. Potrzebne są również sceny o charakterze eksperymentalnym, czy nawet labo-

ratoryjnym, służące po części jakby nawet samym teatrom, sprawdzające pewne nowatorskie tendencje repertuarowe i inscenizacyjne, nie mogące jeszcze liczyć na szeroki odzew widowni.

Taka propozycja podziału pracy nie ma żadnego związku z podziałem na teatr „lepszy” lub „gorszy”, jej intencją jest wskazanie na konieczność konsekwentnego stosowania form wypowiedzi teatralnej o różnym stopniu trudności. Jeśli wnikać w nią głębiej, nie określa też ona sztywnych ram repertuarowych, raczej już sposób realizowania repertuaru. W każdym przypadku musi to być teatr ambitny, nie idący na łatwinę — nie ona bowiem jest kryterium teatru ludowego, ani też żadnego innego.

Teatr współczesny nie może rozwijać się bez eksperymentu nowatorstwa, poszukiwań, fermentu twórczego oraz ideowego. Tym zjawiskom służyć powinny małe sceny i do tego, sądząc z propozycji realizacji — zmierzają. Profile tych scen zaczynają się dopiero krystalizować. Życzyć sobie należy, aby starczyło im oddechu na to, by na trwałe stać się miejscem nowej, twórczej myśli i formy teatralnej, by zyskać dla siebie widza.

W sumie więc Łódź ma potencjalne dane, aby stworzyć dla swoich widzów ciekawy, ambitny i lubiany teatr. Teatr o szerokim wachlarzu ideowo-artystycznym. Do pełnej realizacji tego zadania potrzebna nam więcej twórczych indywidualności artystycznych, konfrontacji z doświadczeniami i wzrostem zapraszanych gościnnie reżyserów oraz klimatu, w którym zespoły teatralne poczują się zaangażowane i w pełni odpowiedzialne za realizację podjętych założeń.

W tym kontekście duże obowiązki spadają nie tylko na kierownicze kolektywy teatrów, ale również na środowisko ludzi teatru jako całość.

Atmosfera życia politycznego, stan dramaturgii, krytyka, organizacja teatru jako przedsiębiorstwa, wszystko to ma, choć w różnym stopniu, wpływ na teatr. Czynnikiem decydującym jest postawa samych ludzi teatru. Samozadolenie, nie troska o widza, asekuracja, czy odwaga, ambicje, czy chęć przeświadczenia się po wskaźnikach... W tym samym bowiem kraju, w tym samym systemie organizacyjnym istnieją teatry bardzo dobre, dobre i złe. Powinniśmy zdać sobie sprawę z tej banalnej prawdy.

Nie narzekając na stan dramaturgii, nie rozkładanie rąk, nie narzekanie na kłopoty z repertuarem, tworząc nowe jakości artystyczne. Warunki sprzyjające ich narodzinom mogą powstać wtedy, kiedy teatrowi, każdemu z osobną i teatrowi w ogóle, uda się wytworzyć wokół siebie atmosferę twórczego zainteresowania, wzajemnych opartych o wspólne ideowo-artystyczne koncepcje kontaktów ludzi teatru — dramaturgów, reżyserów, aktorów, scenografów i krytyków.

W powodzi problemów, związanych z życiem teatru, jeszcze jeden zasługuje na szczególne podkreślenie. Jest nim optymalne wykorzystanie potencjału twórczego środowiska. Narzeka się od lat, że w łódzkich teatrach zbyt rzadko objawiają się oryginalne osobowości reżyserskie. Czy nie należałoby krytycznie spojrzeć również na atmosferę, jaką samo środowisko otacza ludzi pragnących swój talent wykorzystać szerzej, ekspansywniej?

Nie jest przecież żadną tajemnicą, iż w niejednym teatrze ludzie o zbliżonych, a nie konwencjonalnych zainteresowaniach artystycznych, aktorzy, reżyserzy, usiłowali tworzyć grupy twórcze. Warto się zastanowić nad przyczynami krótkiego żywota podobnych grup, a jeśli próby podobne w dalszym ciągu są ponawiane, należy je wspierać. Nie wolno bowiem marnować kapitału, entuzjazmu, pasji, samo środowisko powinno również podsycać ferment twórczy. Nie to, że próby kończą się czasem artystycznym niepowodzeniem; bez ryzyka tego rodzaju twórczość nie mogłaby istnieć.



Fot. E. Kudaj



**D**ługoletnia batalia prasowa o zamknięcie pijalni piwa przy Piotrkowskiej zakończyła się wreszcie zwycięstwem i w miejsce starej speluny otrzymaliśmy lodziarnię z włoskimi automatami „Milano” i „Carpigiani”.

Był to pomysł prawie tak dobry, jak ten z promenadą, przebiegającą dawną ulicę w sobotnie popołudnia główną ulicę miasta w bulwar dobrej ciotki Piotrkowskiej.

Do obydwa mających za szybą automatów ustawiały się każdego letniego dnia dwie potężne kolejki, tarasując wszelki ruch na chodniku — natomiast zimą lodziarnia była całkowicie pusta i tylko jakieś panie w białych kitlach snuły się leniwie z kąta w kąt, świadcząc wymownie o beznadziejnym deficycie tej instytucji.

No, ale nierentowną erę lodów mamy już za sobą. Przed paroma tygodniami dawna pijalnia otrzymała trzecią z kolei wcielenie i oto jest bar kawowy, gdzie bynajmniej nie brak również alkoholu.

Będę szczery. Nowy bar niezwykle mi się podoba: gustowny, wyłożony japońską brzoza, pozbawiony idiotycznych rygorów, które tak często zamieniają nasze lokale rozrywkowe w ponurę świątynię dumania. Wolno palić. Zamiast nastroszonego szatniarza ze Spółdzielni Inwalidów „Światowid” postawiono przy ścianie dwa wieszaki i kto chce, może się rozbrać, a inni śledzą w paltach.

Pamiętam, że podszedłem do bufetu (samoobsługa) i zamówiłem herbatę.

— Z czym? — zapytała ostro ta pani.

— Nie rozumiem.  
— No, z czym ma być herbata? Z rumem?

— Ja nie piję alkoholu. Proszę o zwykłą herbatę.  
— Zwykła to może pan dostać obok, w „Rekordzie”.

To, wysublimowane a przecież nieodosobnione chamstwo gastronomiczne trafiło mnie w kilka zaledwie dni po otwarciu tego lokalu. Poczułem się dotknięty i jednocześnie speszony. Zacząłem ją delikatnie ustawiać, ale była bardzo pewna siebie.

— No i co mi pan zrobi?  
— Zobaczą.  
— Niech pan napisze do gazety.  
— Spróbuję.

Czyniąc właśnie zadość tej bezcelnej prośbie, zastanawiam się, czy aby barmanka nie miała racji. Przecież naprawdę mogłem wypić herbatę w „Rekordzie”. „Rekord” jest poczciwym starym barem i nikt tam człowiekowi za darmo nie ubliża. Poza tym — jak mnie pouczył Adas L. z „Głosu Robotniczego” — do „Rekordu” zagłada od czasu do czasu niejaki Hrabia, człowiek już niemłody, sterany włóczęgostwem, obnoszący po ulicach długą brodę i jeszcze dłuższe włosy, będący kopalnią wiadomości o łódzkiej gastronomii, która ma swoje słodkie tajemnice. „On tam przychodzi na piwo — mówił Adas — ale niełatwo go otworzyć. Nieraz kupisz faceta za kanapkę z tatarską, a nieraz i koniak nie wystarczy. Kiedyś odwiedziłem go w areszcie i zdradził mi kilka swoich brylantowych myśli. Mówię ci, warto spróbować. Szukaj Hrabiego!”.

W obiadowej porze „Rekord” ma zatroskaną twarz. W powietrzu unoszą się ciekawa woń kapusty, ludzie żują w pośpiechu dania barowe, a niecierpliwie i spokojnie dinstoją się po kątach chmielem.

— Nie widział pan Hrabiego? — zaczęłam jednego z tych przegranych,

apatycznych mężczyzn. Był zarośnięty i niebawem zmęczony, lecz z miejsca przyjął filmową pozę i zamamrotał:

— A o co chodzi?  
— Mam dla niego wiadomość.  
— Od kogo?  
— Od syna.  
— Hrabia nie ma żadnego syna.  
— Och, naprawdę muszę go zobaczyć — powiedziałem miękko, czułym, nabrzmiałym troską szeptem i uśmiechnąłem się błagalnie.  
— Dawno go tu nie było — wtrącił się z boku człowiek o solidnym wyglądzie urzędnika.  
— Zna go pan?  
— Wszyscy go znają.  
— I gdzie go można znaleźć?  
— Niech pan spróbuje w „Lodziarni”. On czasami po popołudniu przebiera się w lepsze ubranie i idzie tam na kawę, ale do tej pierwszej sali, bo do tej drugiej szatniarz by go nie wpuścił ze względu na dziurawe palto.

Ruch w „Lodziarni” zaczyna się dopiero o zmierzchu. W pierwszej sali chwieją się przy stolikach ludzie o nieokreślonych twarzach, natomiast w drugiej, połyskliwej jak tandetna biżuteria, czcigodni panowie tasują się z prostytutkami. Pierwszą salę bez przerwy omiata wiatr, druga jest zaciszna i ciepła. Pierwsza nieuchronnie przywołuje na myśl piekło poczekalni dworcowej trzeciej klasy, w drugiej wesoło rżnie muzyka i parki dogadują się na parkietce.

Pomostem pomiędzy obiema salami jest wąski przesmyk korytarza, gdzie najczęściej panuje niebywały ścisk. Jedni wchodzą, dru-

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## SZUKAM HRABIEGO

dzy wychodzą, inni namyślają się dopiero, a jeszcze inni popatrują beznamiętnie w głąb lokalu, tkwiąc nieruchomo w miejscu. Raz po raz wybuchają awantury i bijatyki, które przenoszą się często na ulicę. W powietrzu wibrują bluznierstwa i histeryczne okrzyki personełu. O tym, żeby przecisnąć się do szatni albo do toalety, nie może nawet być mowy — a jeśli się komuś przypadkiem poszczęści, przeżyje wielką przygodę. Bo przecież toaleta w „Lodziarni” jest także trzecią salą konsumpcyjną. W potwornym tłoku i dymie, przy akompaniamencie odbijanych ręką butelek — cję z ulicy, w paltach i czapkach na głowie oraz ci ze środka, przyodziani w wizytowe garnitury złopią w ramach powszechnej akcji oszczędzania przemycyony w kieszeniach alkohol. Dobrze by było, gdyby tak ktośś wieczorem odpowiedzialny za kawiarnię dyrektor zjawił się w przebraniu tu i ówdzie żeby popatrzeć trochę na enklawy swoje go królestwa. Doszedłby wówczas do wniosku, że z lokalami przy głównej arterii wielkiego miasta jest gorzej niż źle, i że winy za to nie ponosi ani milicja, ani młodzież, na którą tak łatwo rzucić gromy. Nawala po prostu personel pana dyrektora, dopuszczając do

rozplenienia się robaczywych zwyczajów, nawalają ci, co kawiarnie projektują i ci, co je sprzątają — nawalają szatniarze wpuszczający do środka pijanych molojców, i kelnerki, które w pogoni za utargiem podają wodę ognistą nawet tym najbardziej podciętym.

Dość.

— Nie widział pan Hrabiego?  
— Widziałem — odpowiedział kiwając się sennie nad filiżanką wystygłej kawy młodzieniec.  
— Kiedy?  
— Chyba trzy dni temu. Ale nie tutaj.  
— A gdzie?  
— W „Warszawiance”.  
— To Hrabia i tam zagłada?  
— Jak ma interes...  
— Jaki on może mieć interes?  
— To już trzeba pytać jego.

Wszedłem więc do „Warszawianki” i serce ścisnęło mi odległe wspomnienie. Przecież to właśnie „Warszawianka” była kawiarnią mojej młodości. Tu przychodziłem nieraz po lekcjach na krem i lody, tu u zmierzchu lat pięćdziesiątych umawiałem się z kolegami na nieustanne dyskusje o muzyce.

Co z tamtych lat zostało?

Chyba tylko to samo obramowane poręczami zejście pod podłogę, którym raz po raz podąża z mozołem jakiś przeinwestowany gość.

„Warszawianka” z powodzeniem może uchodzić za piwiarnię. Na stoliku, przy którym usiadłem, stało dziewięć pustych butelek

„Żywca”. Obok — pewien znany mi z widzenia trzydziestolatek, z wyrazem ponurego zamyslenia na wychudłej twarzy, kończył właśnie szóstą butelkę. Nieco dalej chłopak o wrażliwych przymrużonych oczach miał tylko „karetę”, a jego sąsiad, pan otyły, pięćdziesięcioletni, obstawiony był szkłem na okragło... Choć siedzieli przy osobnych stolikach pod ścianą, stykali się ramionami i gruby mówił do wrażliwego w takim mniej więcej stylu: „Jes- tam sercowy i lekarz zabronił mi piwa. A ja piję. Seta, no... półtorę — powiedział lekarz — proszę bardzo, ale piwa należy unikać. A ja piję. Wszyscy do mnie, że- bym nie pił. Zna — nie pij! Szwagier — nie pij! Ojciec — nie pij! Syn — nie pij! A ja mam silną wolę, przemożem się i pi- je”.

Panie, czekające z nieopisaną cierpliwością na klientów, też sączyły piwo. Pod bufetem pletrzyły się opróżnione skrzynie; kelnerka miała zębami jakąś kanapkę i tylko co parę minut podstawiła tu i tam olejkające pianą fiasko. Niekiedy pili w paltach przy ladzie i podzdrawiali ironicznie „pana kierownika”, który patrzył na nich z nieukrywana, ojcowska miłością.

A teraz chcę, żebyśmy się do- brze zrozumieli: ja wprawdzie szukam Hrabiego, ale nie po to, aby wydusić z niego jakieś kryminalne informacje. Przyjąłem założenie, że tym razem popatrzę sobie na kawiarnie okiem przeciętnego obywatela, zdanego w większym lub mniejszym stopniu na łaskę kelnerki i szatniarza. Przyjąłem założenie, że nie będę epatował czytelnika opisem waluarskich machinacji, że zostawię w spokoju sutenerów, którzy zbierają tam obfite żniwo, i hazardzistów, którzy wyciągają z kieszeni pomięte banknoty, mówią: „pierwsza, trzecia i ostatnia”, chcą, po prostu, znaleźć jakiś inny punkt odniesienia, udowodnić, że nie tylko pijacy i prostytutki — o których zresztą piszę z czystej konieczności — robią „atmosferkę” na Piotrkowskiej.

Nasze kawiarnie są szare, sku- te chandrą. To właśnie chciałbym pokazać. Widział kto kiedy u- śmiechniętą i uprzejmą kelnerkę, albo szatniarza, który by nie miał swoich lewych humorów? No, a przecież nie pracują znowu tak ciężko... I zarobki też nie takie małe... I w końcu, jak idziesz do tak zwanego lokalu i placisz ra- chunek, to w sumie tej jest tak- że opłata za uśmiech i uprzej- mość. W dzisiejszym świecie u- śmiech i uprzejmość nie są żad- nym stanem emocjonalnym, żad- nym naturalnym odruchem, lecz towarem, którym się handluje. Tak, jak musi uśmiechać się mo- delka na wybiegu, tak samo po- winna uśmiechać się kelnerka, więc może pan dyrektor zrobić- by jakiś krótki kurs dla swoich pracowników i nauczył ich do- brych manier. Pan dyrektor chy- ba rozumie, że kawiarnie nie są i nie mogą być miejscem, w któ- rym siorbie się z melancholią w oku gorące napoje, że do kawiarni nie przychodzi się po to, aby się ugrzać, lecz po to, żeby się rozerwać, zapomnieć o domowej ciasnocie, śledzienniczych nastro- jach rodziny; żeby się wyzwolić z udręki, czy też mówić do ko- biety czule słowa.

— Nie widział pan Hrabiego?  
— odważyłem się zagadnąć tego znanego mi z widzenia trzydzie- siolatka o wychudłej twarzy, któ- ry zabierał się właśnie do ostat- niej butelki, mocując się wytrwa- le ze swoim czarnym nastrojem i wiedząc doskonale, że jest to walka beznadziejna i z góry prze- grana.

— Znam Hrabiego — powiedział po namyśle.  
— Ale czy pan go widział?  
— Nie, chyba nie... Może siedzi...  
— Ale chyba żyje?  
— Na pewno.  
— A nie wie pan, gdzie on jeszcze przebywa?  
— W „Mariolce” i takiej budzio na Nowoicki, jak jej tam... badajże „Marsyienka”.  
— Czula nazwa...  
— Ale tylko nazwa...

Następnego dnia odwiedziłem obydwa te lokale, lecz Hrabiego nie znalazłem.

Postanowiłem jednak szukać go w dalszym ciągu. Może, kiedy przeczyta ten reportaż, sam się do mnie zgłosi? Miałbym do niego parę spraw. Może by mi po- mógł wejść w temat, którym w najbliższym czasie zajmę się na serio.

JERZY URBANKIEWICZ

## Krótki oddech krótkiego metrażu

**W**SZYSTKIE znaki na niebie i ziemi wskazują, że telewizja odegra w życiu społeczeństw nie tylko rolę pośrednika w dostarczaniu rozrywki i bieżącej informacji, ale pomoże w kształceniu młodego pokolenia i — co nie mniej ważne — w do- kształceniu tej części pokoleń starszych, którym ciężko na sumie- niu grzech niedouczenia. Dziwne nawet, że już w tej chwili tele- wizja polska tej roli nie pełni. Ale wynika to najprawdopodob- niej z naszej narodowej pasji do... doganiania tych, którzy nas wy- przedzają. Zdawać by się mogło,

że skoro mamy sieć stacji telewi- zyjnych, obejmujących zasięgiem większą część kraju, skoro odbiorników nie sprzedaje się już spod lady, skoro wiemy, czego chcemy nauczyć tych, którzy się uczą, to wystarczyło by opraco- wać filmowe lekcje historii, geografii, biologii i wszystkich innych fotogenicznych przed- miotów, ustalić następnie pro- gram nadawania tych filmów i oto uczący się, bez względu na wiek, oglądaliby np. prawdziwy Ural i jego skarby, zamiast czy- tać nudną o nim relację w książ- ce.

Do podobnego unowocześnienia naszego szkolnictwa dojdzie nie- prędko. Po pierwsze dlatego, że oparcie programu szkolnego o film i telewizję, to zabieg wyma- gający zrozumienia, wysiłku i wy- obraźni, a po drugie — niezbędne są do tego setki krótkich filmów, a wytwórnie filmów krótkome- trażowych mają pracę tak utrud- nioną, jakby takie fakty jak tele- wizja kolorowa, kasetowa, sateli- tarne i inne jej gatunki należały jeszcze do niezliczonych marzeń ludzkości.

Pod wyrażeniem „inne jej ga- tunki” rozumiem na przykład na- stępujący. Politechnika miasta Glasgow w Szkocji ma swój dział nauczania języków w Jordan Hill. Jest to budynek zaopatrzo- ny własną telewizją. W jej cen- trum nadawczym wyświetla się, zgodnie z rozkładem zajęć, fil- my, które za pośrednictwem dwóch odbiorników tv umiesz- czonych w każdej sali wykłado- wej, docierają do studentów. Wolno więc sądzić, że sposobów wykorzystania telewizji może być

wiele. Można też kategorycznie twierdzić, że żaden ze sposobów jej wykorzystania w celach nau- kowych nie obejdzie się bez krótkiego filmu.

25 proc. polskiej produkcji krótkometrażowej powstaje w Łodzi, w Wytwórni Filmów O- wiatowych i „Semaforze”. Resz- ta — to wytwórnia w Biel- sku-Białej i stolica: „Czołówka”, obsługująca głównie wojsko, fil- my reklamowe, miniaturowa pro- dukcja Studia Miniatur oraz Wy- twórnia Filmów Dokumentalnych, zajmująca się PKF i dokumen- tem filmowym; ktoś tam w War- szawie robi też filmy (Boże od- pusć!) rozrywkowe.

Natomiast obie wymienione wyżej wytwórnie łódzkie specjali- zują się od ćwierćwiecza w pro- dukcji gatunków specyficznych, ukoronowanej mnóstwem nagród krajowych i zagranicznych. Jeżeli np. w ub. r. reż. Andrzej Papużi- ski otrzymał II nagrodę w Bilbao za film „Bykowi chwala”, to wi- docznie Papużiski zna się na by-

kach i na robieniu filmów, bo- łatwo tu strzelić byka, zyskać zaś pochwałę Hiszpanów w tak spe- cyficznej dziedzinie, to sukces nie- lada. I właśnie znaczenie WFO polega głównie na tym, że okrzepł tam zespół ludzi do- świadczonych i rozmilowanych w tym rodzaju pracy. Jeżeli Mar- czak pokazuje widzowi kinowemu rozwój zarodka, czy bijące serce żywego stworzenia, jeżeli Arkusz wprowadza widza w tajniki trans- zystora, to znają oni przedmiot i wiedzą jak go sfilmować.

Argumenty za szybkim rozwo- jem WFO wydają się nie do zbi- cia: gwałtownie rosnące zapotrze- bowanie na filmy krótkometrażo- we, doświadczony zespół pracow- ników, olbrzymi dorobek u- wieńczony mnóstwem nagród otr-zymanych na festiwalach całego świata. Argumenty te nie są w sta- nie przeważać niełaski władz. WFO powstała na gruzach starej fabryki włókienniczej. Więcej- tam było entuzjazmu, chęci twor- zienia niż materialnych możli- wości. Znalazły się przecież fran-

Dalszy ciąg ze str. 1

Wielokrotnie podejmowaliśmy próby zwalczania biurokracji. Niestety, to zjawisko ma niebywałą zdolność odradzania się. I to częstokroć w zwielokrotnionej postaci. Nigdy chyba państwo nie będzie mogło obejść się bez administracji. Rzecz jednak w tym, aby była to sprawna administracja, absorbująca jedynie niezbędne siły i środki. Trzeba opracować tutaj alternatywne rozwiązania i wybrać najlepsze, mające największe szanse powodzenia.

Niewątpliwie zmiany w dziedzinie planowania, zarządzania i kierowania nie- sie też ze sobą obarczanie osób, zajmujących kierownicze stanowiska w gospodarce i administracji, większą odpowiedzialnością. Każdy kto kieruje jakimś odcinkiem naszego życia gospodarczego czy administracji, na każdym stanowisku kierowniczym, musi zdać sobie sprawę, że okres wygodnictwa, asekurantwa, unikania podejmowania decyzji i ryzyka bezpowrotnie minął.

Szczególną rolę w realizacji wytyczonego programu odgrywają środowiska naukowo-techniczne. **Obszernie i szczegółowo mówił o tym na spotkaniu z łódzkim środowiskiem technicznym kandydat na posła z Okręgu Wyborczego nr 5, członek Biura Politycznego, sekretarz KC PZPR — JAN SZYDLAK.**

— Jesteśmy dopiero u progu rewolucji naukowo-technicznej — powiedział Jan Szydłak w swoim wystąpieniu. — Musimy jednak zdawać sobie sprawę, że mamy przed sobą walkę o dużą stawkę. Najbliższe lata bowiem zadecydują czy zdołamy osiągnąć zamierzony postęp i znajdziemy się wśród krajów zdolnych do eksportu wysoko wyspecjalizowanych wyrobów, czy też nie zdołamy tego osiągnąć, powiększymy dzielący nas dystans od krajów wysoko uprzemysłowionych i skażemy nasz kraj na drugorzędną rolę w świecie rozwiniętej techniki. Rozwój techniki, wymaga nakładów. Mamy na ten cel zwiększone środki w bieżącej 5-latec. Doświadczenie uczy jednak, że same środki nie wystarczą. Cóż bowiem z tego, że damy dużo pieniędzy złemu gospodarstwu? Dlatego już dziś musimy, m. in., troszczyć się o jak najlepsze wykorzystanie zwiększonych nakładów. Chcemy m. in. tworzyć zespoły naukowo-techniczne do spraw udoskonalenia licencji, które już zakupiliśmy i jeszcze zamierzamy zakupić. Jeśli byśmy tego nie uczynili, to wkrótce stanęlibyśmy w obliczu konieczności kupowania nowych licencji. Rychło bowiem mogłoby się okazać, że licencyjne wyroby po prostu straciły swoją nowoczesność i atrakcyjność.

To, oczywiście, tylko jeden z przykładów perspektywicznego dostrzegania i rozwiązywania stojących przed nami problemów. Do nich też zalicza się, trwające już prace, nad utworzeniem jednego ośrodka dyspozycyjnego dla polskiej nauki. Jest to konieczne w dobie, gdy nauka stała się częścią składową sił wytwórczych. Stąd również wynika konieczność umacniania więzi inteligencji naukowo-technicznej z klasą robotniczą. Nie uczynimy bowiem koniecznego kroku naprzód, jeżeli nie stworzymy jednolitego frontu.

Niebagatelne miejsce w ogólnonarodowym programie rozwoju zajmuje nasze miasto. Trudno było ukryć wzruszenie, gdy Jan Szydłak powiedział: — Nie jestem łódzianinem, ale właśnie tu, w Łodzi, przed rokiem spojrzeliśmy prawdzie w oczy. Ta prawda miała oczy łódzkich włókienników. Doleżymy starań, aby w oczach włókienników już więcej nie było gorczy i pretensji...

Nasze miasto pozostanie największym w kraju ośrodkiem przemysłu lekkiego. Jednocześnie jednak będzie się modernizować przemysł włókienniczy, tak, by stał się przemysłem nowoczesnym. Nastąpi też rozbudowa przemysłu elektromaszynowego oraz produkcji maszyn

włókienniczych, pozostającej w dysproporcji do wymagań przemysłu.

Wykorzystując przyznane naszemu miastu 35 miliardów zł, poprawi się warunki komunalne w zakresie wodociągów, kanalizacji i komunikacji. Rozwi-

produkcję artykułów rynkowych. Korzystne są też wyniki w innych dziedzinach naszego życia gospodarczego.

Podstawową gwarancją — co wyraźnie się podkreśla — realizacji nakreślonego programu jest oparcie go na głębokiej

nowiła skrócić z 18 do 12 miesięcy czas uzyskania przez te zakłady pełnej zdolności produkcyjnej. Dzięki temu rynek krajowy otrzyma o 1,8 miliona sztuk wyrobów dziewiarskich więcej, niż pierwotnie przewidywano.

Brygadziści z Łódzkiego Przedsiębiorstwa Motoryzacyjno-Transportowego PT Przemysłu Terenowego — T. Zjawieński poinformował o zobowiązaniu dostarczenia na rynek gazu hamulcowego „R-3” w ilości 200 ton. Płyn ten charakteryzuje się parametrami technicznymi odpowiadającymi najwyższymi wymaganiami światowym. Został wszechstronnie sprawdzony m. in. w laboratoriach włoskiej „Fiata”. Produkcja „R-3” przeznaczona dla wszystkich typów samochodów wyposażonych w hamulce tarczowe pozwoli zaoszczędzić około 100.000 dolarów, które dotąd musieliśmy wydawać na sprowadzanie gazu hamulcowego z zagranicy.

O tym, że załoga Wytwórni Filmów Fabularnych dobrze zrozumiała intencje kierownictwa partii i rządu mówił na tym samym spotkaniu z kandydatami na posłów zastępca dyrektora wytwórni — W. Budzyński. Wytwórnia zgłosiła kierownictwu resortu gotowość dodatkowego zrealizowania dwóch filmów pełnometrażowych oraz zwiększenie dodatkowej produkcji laboratoryjnej dla lepszego obsłużenia rynku krajowego i eksportu. Wartość tego zobowiązania szacuje się na 4,7 miliona złotych.

Znaczny udział w realizacji nakreślonego programu przejmują na siebie łódzkie środowiska inżynierjno-techniczne. Jak podał podczas spotkania tego środowiska prezes łódzkiego oddziału Naczelnej Organizacji Technicznej, J. Jablczyński, wybrano już 22 problemy do współpracy z Prezydium RN m. Łodzi. Zostały one przyjęte do wykonania. Ponadto poszczególne stowarzyszenia skupione w NOT wyłoniły grupy ekspertów, którzy mają za zadanie wskazywać optymalne, najbardziej korzystne rozwiązania określonych spraw i problemów inżynierjno-technicznych. Łódzki NOT objął społeczny patronat nad budową wodociągu Pilica — Łódź.

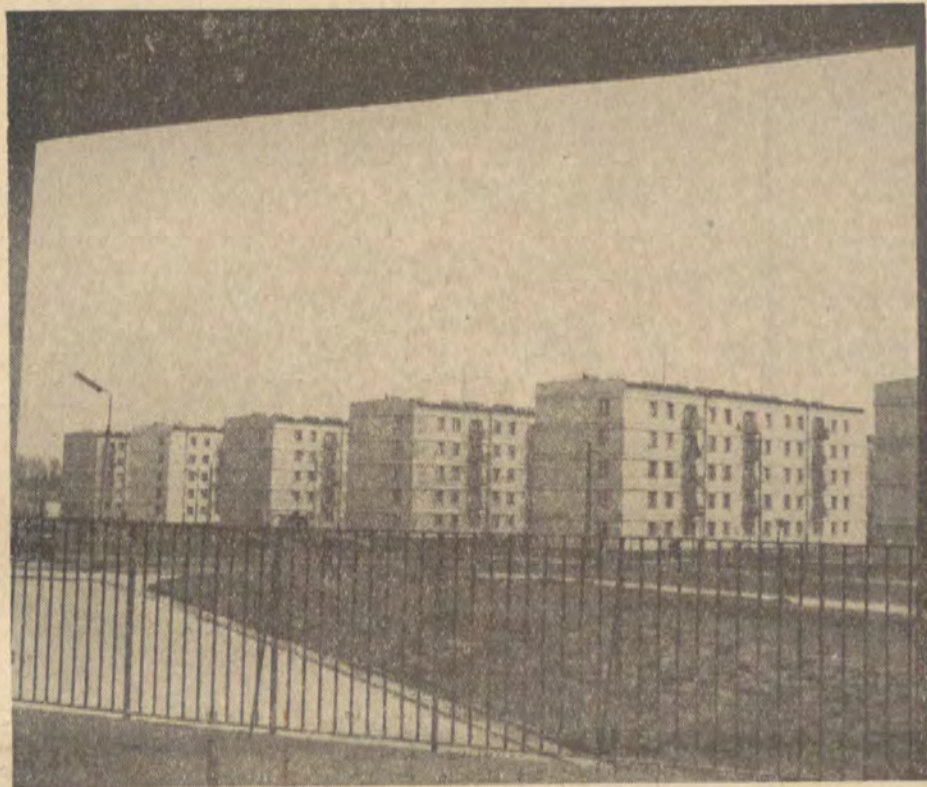
Przedwyborczy dialog z kandydatami na posłów rozdzielił inicjatywę społeczną. Pięknym tego przykładem stał się apel DK FJN — Polesie w sprawie podjęcia budowy na Zdroju centralnego parku kultury i wypoczynku. Nowoczesne miasto, jakim stać się ma Łódź, musi mieć nowoczesne zaplecze rekreacji i wypoczynku. Takim zapleczem dla ludzi pracy naszego miasta stanie się wielki kompleks terenów zielonych na Zdroju, zagospodarowywany w czynie społecznym.

Innym rodzajem przykładu wspólnej troski o najkorzystniejsze rozwiązywanie stojących przed nami spraw stał się głos jednego z współtwórców polskiej motoryzacji, prof. dr Jerzego Wernera. Wystąpił on z projektem zlokalizowania w naszym mieście produkcji licencyjnych autobusów. Jego zdaniem wiele przemawia za takim rozwiązaniem. Dość przypomnieć, że właśnie w Łodzi opracowano całkowitą dokumentację naszych „Starów”. Politechnika Łódzka kształci rocznie około 30 specjalistów samochodowych. Z zapewnieniem kadry nie powinno być kłopotów. Projekt na pewno wart rozważenia.

Tego rodzaju przykładów dostarcza każde przedwyborcze spotkanie w naszym mieście. Dowodzą one, że hasło: „nasz program — nasza szansa” jest dobrane i właściwie rozumiane wśród szerokich rzesz społeczeństwa. Napawają optymizmem przekonaniem, że w realizacji tego programu nie zabraknie nikogo, nie zostanie zmarnowana żadna para ofiarnych rąk, skorych pomagających w pomnażaniu naszego wspólnego majątku, aby w Polsce żyło nam się coraz lepiej.

KONRAD TUROWSKI

## Nasz program — nasza szansa



Osiedle 1 Maja

Fot. A. Wach

nie się budownictwo mieszkaniowe, które stawia się obok tak ważnej sprawy, jak podnoszenie dochodów ludności.

Trzeba podkreślić, że opracowany program rozwoju Polski — w tym również naszego miasta — oparty jest na realnych możliwościach wykonania założonych zadań. Sceptycy uważają, że przekracza nasze możliwości. Najlepszym jednak dowodem, że się mylą są wyniki gospodarcze minionego roku. Odczuwalna stała się poprawa w zaopatrzeniu rynku. Zdecydowana w tym zasługa krajowego przemysłu, który w odpowiedzi na apel partii i rządu potrafił zwiększyć

wierze w zbiorową mądrość naszego narodu, w jego ogromne możliwości. Tego zaufania nie zawiedzie społeczeństwo naszego miasta. Odwołujemy się do konkretnych przykładów z pierwszych spotkań przedwyborczych z kandydatami na posłów: członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC PZPR — Janem Szydłakiem, I sekretarzem KŁ PZPR — Bolesławem Koperskim, przewodniczącym Prezydium RN m. Łodzi — Jerzym Lorensem i innymi.

Oto robotnik z Zakładów „Tkanina” — J. Bronner poinformował na spotkaniu aktywu Bałut i Polesia, że załoga posta-

cuskie kamery Debrze, wymontowane z messerschmidów, na nich zaczęto pracę i zdobyto pierwsze i niemal wszystkie dalsze nagrody. Baza techniczna w ciągu 25 lat niewiele się zmieniła, choć technika filmowa na całym świecie zrobiła krok milowy. A pracownikom WFO brak kamer 16 mm, brak kamer z transferatorami, brak stołów trikotowych o wysokim standardzie, brak kopiarek typu specjalnego do zdjęć kombinowanych, a zdjęcia, te same, które nierazko zdziwiają świat, są robione w prymitywnych warunkach, w zwykłych pokojach biurowych, szumnie zwanych „laboratoriami”.

W tej sytuacji Wytwórnia opracowała przed dwoma laty założenia rozbudowy, adaptacji i unowocześnienia. Zostały one zatwierdzone przez Naczelną Zarząd Kinematografii i Ministra Kultury. Wobec czego przygotowano projekt wstępny. Obejmował on budowę studia dźwięku, zaplecza dla hali zdjęciowej, pomieszczeń towarzyszących i la-

boratorium, kosztem 72—80 milionów złotych. Niestety, projekt ten został w roku ubiegłym skreślony z planu pięcioletniego.

Nie lepiej wyglądają sprawy Studia „Semafor”. Zaczęło się 25 lat temu od tego, że Zenon Wasilewski opracował film o królu Krakusie. Do dziś można sobie oglądać jego filmową postać, jak siedzi na zydlu i moczy nogi w szafliku. Jak twierdzą pracownicy Studia, w szafliku tym leżą ważne i bardzo ważne sprawy „Semafora”, z jego przyszłością włącznie.

Produkuje się tu, jak wiadomo, filmy lalkowe, rysunkowe, kombinowane i aktorskie. Inaczej mówiąc, ambicje załogi popchnęły studio w kierunku rozszerzenia działalności od filmu lalkowego ku innym jego formom. Były to zmiany zupełnie niekosztowne, gdyż główny kapitał stanowiły wyżej wymienione ambicje załogi oraz jej umiejętności. Skutkiem jednak tego Studio pracuje dziś w trzech miejscach, z których każde zostało tanim kosztem

zaadaptowane i współczesna organizacja pracy wygląda tam w ten sposób, że nierządno kierownik działu znajduje się w jednym miejscu, pracownicy pod drugim adresem, a sprzętu trzeba szukać jeszcze gdzie indziej. Jeśli zaś mowa o sprzęcie, to podobnie jak w WFO kamery Debrze, które się tak dobrze spisywały jeszcze przed drugą wojną światową, pełnią i tu swoją niekończącą się służbę.

Filmy „Semafora” przeznaczone są głównie dla najmłodszego widza. Dowodzenie, jaką rolę w dziedzinie nauczania i wychowania dziecka odgrywa dobry film, jest chyba rzeczą zbyteczną. Może należałoby raczej zapytać, czy „Semafor” robi dobre filmy? — Okazuje się, że robi tak dobre filmy, że sprzedaje wielką ich ilość za granicę, jeżeli zaś coś tej produkcji eksportowej przeszkadza, to zła jakość sprzętu i zła jakość taśmy. Ze sprzętem poradził sobie (przynajmniej w jakimś stopniu) w sposób następujący. Studio zawarło umowę z Ban-

kiem Handlowym o udzieleniu mu szybko rentującej się pożyczki dewizowej. Za uzyskane w ten sposób pieniądze zakupiono nowoczesne kamery oraz nowoczesny sprzęt dźwiękowy. Na tych kamerach i na tym sprzęcie zrobiono filmy na zamówienie Francuzów i zwrócono dług bankowi. Jest to kombinacja tak genialna w swojej prostocie, że zdawać by się mogło, pół Polski da się tą metodą unowocześnić. I Studio „Semafor” w dalszym ciągu obciąża przy żądaniu: dajcie nam nowe, w miarę nowoczesne studio, a my wam za złotówki damy franki czy dolary i damy szybko, bo zamówienia czekają; jeśli my ich nie przyjmujemy, przyjmą inni i inni podzielą się naszą sławą molojecką i dewizami.

Niestety, argumenty trafiają w próżnię. Studio „Semafor”, podobnie jak WFO skazane jest na wegetację wbrew logice, wbrew oczywistemu interesowi polskiej kinematografii, polskiej kultury, wbrew oczywistemu rachunkowi gospodarczemu.

Jeśli idzie o sytuację filmu krótkometrażowego w Łodzi, to należy spojrzeć na nią z jeszcze jednego punktu widzenia. W mieście naszym kształcą się filmowcy. Zapewne studenci zaczynają od krótkich studiów filmowych, a poza tym — niektórzy z nich trafiają do wytwórni filmów krótkich. Wydawać by się więc mogło, że posiadanie na miejscu, w Łodzi wytwórni takich jak WFO i „Semafor”, działających we wszystkich dziedzinach filmu krótkiego, jest równoznaczne z posiadaniem laboratorium na użytek studentów. Wydawać by się mogło, że laboratorium takie powinno być nowoczesne, by studenci przyswajali sobie od razu najnowsze zdobycze techniki filmowej — ale i te argumenty nie skutkują.

Jeżeli argumentacja logiczna zawodzi, to widocznie są jakieś racje ukryte. Jakże? — A może znów chodzi o to, by w tym państwie, który nosi nazwę Polski, wszystkie powidła musiały iść do środka?

MAREK WAWRZKIEWICZ



Wygasają sekundy  
Umieram w sekundach

Jest to  
Rzeka powrotna  
Splywająca w studnię  
Szukająca źródła

Jest to  
Ogień idący  
W gęstwą iskry  
Tak daleko  
Ze zapominam  
Czy się kiedyś tliła

Jest to  
Przedmiot wydarty  
Z głębokości drzewa  
Tak mocno  
Ostatecznie  
Ze już nie wiadomo  
Czy to drzewo wyrosło  
Z jakiegoś nasienia

Wygasają sekundy  
Umieram w sekundach

To znaczy  
W studnię  
W płomyk  
W ziarno  
W czerni gliniastą

I tylko  
Woda ogień ziemia  
Nigdy  
Nie zapomną

Luty, 1971 r.

## I przyplywa

I przyplywa pod wiatrem i pod światłem białym  
I przyplywa przed myślą o każdej obronie  
Przed wiarą przed nadzieją

Ze ugrzezną w nim palce rozbiegane nagle

A na przestrzeniach szarych jak piasek o brzasku  
Sen tylko ptasi ślady swe zostawił  
Lecz teraz je ta zamieć

Przyrówna do ślepoty i lód dobrośliwy  
do martwej pamięci

Więc jest potem to brnięcie przez czas topniejący  
Jest omijanie strzępów ostroliwej trawy  
Daleko

Do wątych snu zarosli Tam do horyzontu

Aż znów przyplynie kiedyś Aż znowu ogarnie  
Jak oblężenie nagle Jak powódź wśród nocy

Pragnienie by cię podnieść ze snu Ze strumienia  
Płynącego osobno Na obydwu rękach

Luty, 1971 r.

HENRYK HARTENBERG

## Kwiaty nadziei

KOBIETOM ŁÓDZKIM

Proszę —  
Bardzo proszę przyjąć na dziś i na wszystkie dni —

Kwiaty układające się w biel i czerwień  
Kwiaty zatrzymujące sen zakochanych  
Kwiaty rozkwitające tylko o północy  
Kwiaty prowadzące nas przez obszary  
Bólu — czynu i nadziei —

Proszę przyjąć na dziś i na wszystkie dni —

Kwiaty którymi matka ochrania kolyskę  
Która pochyla się nad dzieckiem — a ono  
Uśmiecha się Jej uśmiechem  
Kwiaty z których pochodzi płomień obojga  
Kształt jej imienia i ruch wieczystego trwania —

Proszę przyjąć na dziś i na wszystkie dni —

Kwiaty natchnionego słowa — jak radość codzienna  
Kwiaty z których wyrośnie owoc soczysty  
Owoc życia — o czerwonym miąszu  
Kwiaty naszej ziemi w której bije serce szczepu  
Starsze od najstarszych kamieni globu —

Proszę przyjąć na dziś i na wszystkie dni —

W obliczu płonącej kuli — wędrującej nad światem  
Złączyliśmy kwiaty wszystkich barw  
Powstała tęcza przymierza —  
A zobaczywszy zapisałem tak jak się zapisuje  
„Pieśń o nieśmiertelności” —

Więc proszę —  
Bardzo proszę przyjąć kwiaty — na dziś i na wszystkie dni —



ZOFIA LORENTZ

## „Sprawdzili”

(Opowiadanie)

JUREK przeszedł do szóstej klasy, na samych piątkach. Jedyna czwórka z wychowania fizycznego wywodziła się z jego niechęci do sportu i gimnastyki. Ale od nowego roku szkolnego miał przejść do innej szkoły, co znów było związane ze zmianą mieszkania i przeprowadzką z Mokotowa na Powiśle.

— Będzie mu trudno wycić się się w nowe środowisko — martwiła się matka.

— Nic nie szkodzi — pocieszał ją ojciec — pozna nowych kolegów. Może wreszcie znajdzie sobie jakiegoś przyjaciela.

Bo wiedzieli oboje, że ich Jurek, z natury nietowarzyski, do współzycia koleżeńskimi odnosił się niechętnie.

— Boisz się? — spytała go matka, gdy nadszedł dzień pójścia do nowej szkoły.

— Nie — odpowiedział bez wahania — jestem właściwie ciekaw jaka będzie.

Ta odpowiedź uspokoiła rodziców... „Jeżeli jest ciekaw, to już dobrze” — rozmawiali. Po tygodniu, oczekującym ze względów pedagogicznych, zapytali: — No, jak tam koledzy? Podobał ci się któryś?

— Owszem — odparł skwapliwie, zaskakując tym rodziców, — Siedzisz z nim w jednej ławce?

— O, nie. To byłoby niemożliwe.

— Dlaczego?

— Bo on nie jest z mojej klasy.

— Z szóstej „b”?

— Nie, z czwartej.

— Co? O tyle młodszy?

— O dwa lata niecałe. Wielkie rzeczy.

— Ale jak to wygląda wobec kolegów z twojej klasy? Będą się z ciebie śmiać.

— Nie ma obawy. On się mną zaopiekował, a „oni” go się boją — sześcioklasiści boją się chłopca z czwartej?

— Właśnie. Bo on już taki jest.

— A ty — też go się boisz?

— Ja? — nie. Mówiłem przecież, że on się mną zaopiekował.

— Państwo R. spojrzeli na siebie ze zdumieniem.

— A jak on się nazywa? — spytał wreszcie ojciec.

— Glenek.

— Ale nazwisko?

— Nie wiem, nie pytałem go. A to imię nie jest wcale prawdziwe, tylko przybrane, bo prawdziwe mu się nie podoba, więc sobie zmienił.

— Jakaś bujna indywidualność — roześmiał się ojciec, i na tym skończył wywiad.

A z tym opiekunstwem to była prosta sprawa: Jurek pierwszego dnia w nowej szkole czuł się bardzo źle wprost fatalnie. Na dużej pauzie stał na korytarzu sam. Nikt się nim nie zainteresował. W zamyśleniu gryzł jabłko, jak wielu innych chłopców, ale bez zapalu, jak by od niechcenia. Nagle zorientował się, że ktoś do niego mówi:

— Co tak gryziesz to jabłko, jakbyś chciał, a nie mógł, co?

Stał przed nim chłopak prawie o pół głowy niższy, o jasnej czuprynie zaczesanej do góry i zawadiackiej minie.

— No co? Nie smakuje ci takie fajne jabłko?

— Już jedno zjadłem przy śniadaniu. A ty?

— Co?

— Zjadłeś już swoje?

— Nie zjadłem, bo nie miałem.

— Może chcesz to moje? Bardzo dobre.

— Przecież od razu widać, że dobre.

— No, to masz — i Jurek podał mu jabłko, które tamten chwycił chętnie.

— Mama mówi, że takie jabłka to nie dla nas, bo za drogie. A ty tu jesteś nowy?

— Tak. Przeszedłem z innej szkoły, bo przeprowadziliśmy się.

— Rozumiem. Nie będziesz miał tu lekkiego życia.

— Dlaczego?

— Bo widzę, że jesteś niemrawy, a ci z szóstej — to cwaniaki. Jakby cię zaczepiali, to przyjdź po mnie. Już ja cię obronię.

I tak się zaczęła ta dziwna przyjaźń. Malomówny Jurek z Glenkiem chętnie rozmawiał, ba, nawet opowiadał mu o sobie. A Glenek był ciekaw wszystkiego. Umiał słuchać, ale też żądał dokładności w informacji. Z relacji Jurka dowiedział się, że Jurek jest jednakim, że jego matka jest lekarzem, a ojciec inżynierem, że mają samochód i trzy-

pokoju mieszkanie, że latem byli wszyscy troje na Mazurach, a na przyszły rok pojedą do Jugostawii. O swoim domu — Glenek nie nie opowiadał, a Jurek przez delikatność — nie pytał. Ale kiedyś, gdy przy jakiejś okazji zaczął wychwalać swego ojca, Glenek przerwał mu nagle. Powiedział:

— Phi, myślisz, że tylko twój ojciec jest ważny? Mój wcale nie jest gorszy.

— A kim jest? — Jurek skwapliwie skorzystał z okazji.

— Jak to kim? Też inżynierem.

— Ale jakim, od czego? Bo to bywają różni: jedni od budowy mostów, inni od osiedli, a nawet niekoniecznie od budownictwa.

— No pewno. Może być inżynier-mechanik.

— Właśnie. No, to twój od czego jest?

— Budowlany.

— Patrzenie, bo mój też.

Obydwojacy ucieszyli się, jakby tożsamość zawodów ich ojców była im do czegoś potrzebna.

Innym znów razem, a był to właśnie 10 września, Jurek powiedział na pauzie Glenkowi: — Dzisiaj rocznica rozpoczęcia bitwy pod Kutnem, wiesz?

— Pewno, że wiem. Tata mi o niej opowiadał.

— Brał udział w tej bitwie?

— No! Nawet był ranny — w głosie Glenka zabrzmiała duma.

— To dziwne.

— Co? Że był ranny? Coś ty, tam trup gęsto padał, a co dopiero...

— Bo mój ojciec też walczył pod Kutnem.

— W tym też nic dziwnego! Przecież tam walczyła kupa ludzi.

— I też był ranny

— Ale chyba nie ciężko, skoro żyje.

— A twój też nie ciężko, bo też żyje.

— Glupis.

Po paru dniach znów rozmawiali o wojnie. Glenek wychwalał artylerię. Twierdził, że nawet w ostatniej wojnie była najważniejszą bronią.

— A czołgi, a lotnictwo? — kwestionował Jurek.

— Wszystko to betka w porównaniu z ciężkimi haubicami. Zmasowany ogień haubic kładzie przeciwnika na obie łopatki.

— Dlaczego tak bronisz artylerii?

— Dobryś sobie: przecież mój tata był artylerzystą.

— Co ty mówisz? A to dopiero!

— Co?

— Bo mój — też.

— To fajnie. Wiesz, to jak byśmy byli z jednej rodziny.

I roześmieli się.

— Mój — „na wirtuti” — pochwalił się Glenek.

— A mój myślisz nie ma?

— I znowu się roześmieli.

— Twój był z wodowy?

— Skąd, rezerwa.

— Mój — też. A w jakim był pułku?

Jurek zastanowił się.

— Co, nie wiesz? — zdziwił się Glenek.

— Zapomniałem.

— Jak można taką rzecz zapomnieć. Ja umiem na pamięć: dywizję, pułk, baterię... Jak tata znów kiedy przyjdzie, to go się spytam, czy nie znał twój. Jak mu na imię?

# OPOWIADANIA BIAŁORUSKIE

W SRÓD NOWYCH KSIĄZEK „Wydawnictwa Łódzkiego” jedna z ciekawszych pozycji jest niewątpliwie tom opowiadań Janki Bryla, jednego z czołowych prozaików białoruskich, za tytułowany „Patrzeć na trawę”. Zbiór ten zasługuje na uwagę polskich czytelników nie tylko ze względu na walory literackie prozy Bryla, ale i dlatego, że autora łączy więź żywej i szczerej sympatii z Polską, narodem polskim i jego kulturą.

Janka Bryl od piątego roku życia mieszkał na wsi białoruskiej w okolicy Nowogródka. W 1939 roku, jako żołnierz Wojska Polskiego, brał udział w walkach z hitlerowcami pod Gdynią. I tam też dostał się do niewoli, z której jednak już w 1941 roku udało mu się uciec. Dotarłszy szczęśliwie aż do rodzinnych okolic, okupowanych podówczas przez wojska niemieckie, Bryl wstąpił w szeregi partyzantki, a gdy wybiła godzina wyzwolenia, przystąpił wraz z innymi do dzieła odbudowy zniszczonego przez wojnę kraju, rozpoczynając jednocześnie twórczość literacką na szeroka skalę. Jej owoce, po trzydziestu prawie latach, przedstawiają się — zarówno pod względem wartości jak i ilości wydanych przez Bryla książek — bardzo nieprzeciętnie.

W słowie odautorskim tomu „Patrzeć na trawę” Bryl akcentuje m.in. swoje wczesne związki z literaturą polską, pisząc, że jedną z pierwszych książek przeczytanych przez niego, gdy był kilkuletnim chłopcem, była bajka Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. I dalej Bryl stwierdza: „Od tamtego czasu do dziś — a więc już blisko pięćdziesiąt lat — czytam polskie książki. Trudno powiedzieć, na ile znam polską literaturę — znacznie prościej będzie przyznać się, że ją lubię, że dała mi niemało podniosłej radości i wiele nauczyła”.

Pod względem tematycznym opowiadania Bryla można podzielić na trzy grupy: pierwsza — to wspomnienia z września 1939 r. i czasów okupacji hitlerowskiej i walk partyzanckich na Białorusi, trzecia wreszcie dotyczy nowej powojennej rzeczywistości rodzinnego kraju autora, prezentuje codzienne życie białoruskich wsi, chutorów i miasteczek, z dość częstym odniesie-

niem do spraw niedawnej przeszłości. Do zalet pisarskiego stylu Bryla należy prostota, bezpośredniość, liryzm, unikanie patosu i pustostlowia. To wszystko razem wzięte nadaje prozie Bryla cechy ekspresyjności i komunikatywności, a te właśnie cechy bardzo należy cenić.

Spśród pierwszej grupy opowiadań — jako charakterystyczne dla autorskiego pióra — wymienić można: „Krew na ścianie” i „Słoneczny Zajacek”; spośród drugiej — opowiadania: „Matka” i „Kozaczek”; spośród trzeciej wyróżnilibym „Halę” oraz „Ty żyjesz”. Ta ostatnia pozycja jest pięknym hołdem złożonym przez autora pamięci swej matki, a drogą tego aktu natury osobistej — wszystkim matkom, droczonym w czasie wojny ostrym niepokojem o losy synów walczących z najeźdźcą. Jednym z ujmujących rysów piśmiennictwa Bryla jest jego ciepły i serdeczny stosunek do dzieci, którym poświęca niekiedy całe opowiadania (np. „Lipka i klonik” i „Gwiazdka na kłamrze”). Rozumiem te uczucia. Osobiście muszę przyznać, że nie żywię sympatii do ludzi, którzy nie lubią dzieci. To prawda, że dzieci bywają czasem niesforne i dokuczliwe, lecz i wśród dorosłych zdarzają się nieraz osobnicy dokuczliwi i niemili, z którymi musimy jednak przestać rozmawiać i nawet uśmiechać się do nich. A dziećmi niejedno trzeba wybaczyc właśnie dlatego, że są dziećmi...

Umieszczone w tomie „Patrzeć na trawę” utwory pochodzą z okresu lat trzydziestu z górą, bowiem trzeba podkreślić, że Bryl zaczął próbować swych możliwości pisarskich w wieku bardzo młodym, jeszcze przed wybuchem wojny w 1939 roku. Ta rozpiętość chronologiczna nie pozostaje, oczywiście, bez wpływu na stopień dojrzałości artystycznej poszczególnych, zawartych w omawianym tomie, utworów. Niezależnie jednak od istniejących pod tym względem różnic, wypadła stwierdzić, że całość zaprezentowanego polskim czytelnikom zbioru zasługuje na bardzo dodatnią ocenę i świadczy o wysokich kwalifikacjach twórczych Janki Bryla — wielce życzliwego nam syna bratniego, białoruskiego narodu.

\*) Wydawnictwo Łódzkie, str. 257, cena zł 15. Przekład: J. M. Kononowicza.

— Wojciech.  
— Nie może być.  
— Dlaczego nie może być, kiedy jest.  
— Bo mojemu też Wojciech.  
— No to co? Mało jest Wojciechów na świecie?  
— No, prawda. A dlaczego powiedziałeś: „jak tata znowu przyjdzie”. To nie mieszkanie razem?  
— A nie. Nawet nie pamiętam, żeby z nami kiedy mieszkał. Ale często przychodzi. Czasem nocuje. Nawet ma swoją piżamę u mamy w szafie. A jak przyjdzie — to już cały czas ze mną. Zaraz widać, że ja jestem dla niego ważny. A u ciebie jak? Lubi cię twój?  
— Naturalnie... — odpowiedź Jurka zabrzmiała słabo — tylko...  
— Co?  
— Tylko nie ma czasu, żeby się mną zajmować: to jest na budowę, to siedzi przy desce i kreśli. A twój nie kreśli w domu?  
— Nie. U nas nie ma nawet deski.

— Musi mieć u siebie. A gdzie on mieszka?  
— Nie wiem.  
— Jak to? Nigdy u niego nie byłeś?  
— Nie. Mówi, że mieszka w hotelu, a do hoteli dzieci nie chodzą. A że często wyjeżdża do innych miast.

— Mój też wyjeżdża. Albo ma posiedzenia, jazdy.  
— Po południu?  
— Po południu, albo wieczorem, różnie.  
— A mama?  
— Oo, mamę to jeszcze mniej widuję: rano — w szpitalu, po południu w szpitalu lekarskiej.

— To masz smutną dolę. Ciągłe sam. Moja mama pracuje osiem godzin w szpitalu, bo jest pielęgniarką, i na tym konie. Po tem jest w domu: gotuje obiad, pomaga mi w lekcjach, chodzi ze mną do kina. A jakie ciasto umie piec! Takiej szarlotki, jaką robi moja mama, to nikt nie potrafi. Przyjdź raz do nas, to spróbujesz. Przyjdź raz?  
— Przyjść.

W szkole wszyscy wiedzieli, że Gienek przyjaźnił się z nowym z VI. Niektórzy dziwili się Gienukowi, bo Jurek nie zdobył sobie u kolegów sympatii, a Gienek był bardzo lubiany. Inni próbowali kpić z Gienuka, że się zadaje z taką fajną. Dziwili się też trochę tej zażyłości chłopców nierównych wiekiem i usposobieniem — nauczyciele. Toteż, gdy któregoś dnia wywiązała się między dwoma przyjaciółmi zartowa bójka — zdumieni się wszyscy.

Przeprowadzone przez wychowawców śledztwo, nie zdołało nawet ustalić, kto zaczął, a co dopiero mówić o poznaniu przyczyny bijatyki. Obydwaj chłopcy zapytani o to wielokrotnie, odmawiali odpowiedzi. Bledli, gdy ich pytano, dygotali ze zdenerwowania, ale ani łagodne perswazyje, ani groźby — nie skutkowały. Przesłuchiwanie świadkowie zajęli też nie wnieśli do sprawy: nikt z nich nie widział początku bójki, która zaczęła się wprawdzie podczas paury, ale na ulicy, gdy Jurek i Gienek wyskoczyli do pobliskiego kiosku po zeszty. Nikt też nie słyszał ich rozmowy, poprzedzającej bitkę. Widzieli tylko, jak wyczołpił się z ulicy na podwórze szkolne już rozwścieczeni, okładając się pięściami. Był to widok tak zaskakujący, że nikt nie skoczył ich rozbijać. Dopiero wozy odciągnął ich od siebie. Zaprowadzeni do pokoju nauczycielskiego, przedstawiali sobą oplakany widok: byli rozezochrani, ubrudzeni ziemią... Głusi na perswazyje kierownika szkoły, stali z opuszczonymi wzdłuż boków rękami, ze zwieszonymi głowami, milcząc uparcie. Do klas już tego dnia nie wrócili. Odesłano ich od razu do domów, wzywając rodziców na dzień następny.

Nazajutrz inż. R. zdziwił się ogromnie otrzyawszy pocztówkę, podpisaną przez kierownika szkoły, wzywającą go do szkoły w sprawie niewłaściwego zachowania się syna, Jerzego. Pokazał ją od razu żonie.

— Jurek i niewłaściwe zachowanie? Aż takie, że wzywa się rodziców? Jak myślisz, co się mogło stać? Przecież odkad chodzi do szkoły, nigdy... — Zapytamy go przy kolacji, bo ja zaraz wychodzę do szpitala — powiedziała pani R. — a ty pewno... — Właśnie, nie będę dziś w ogóle na obiedzie — mam zjazd inspektorów. A czy zdążę na kolację, też wątpliwe.

Jurek jadł obiad sam i był z tego zadowolony. A kolacji odmówił. Położył się już o siódmej do łóżka i zapowiedział gospo-

żebym go nie budziła: boli go głowa i nie może być.  
Gdy zaniepokojona tym matka około godziny ósmej zajrzała do jego pokoju, istotnie spał. Zdolała jednak stwierdzić, że był rozogniony, a pod okiem miał krwawy wylew.

— On się z kimś bił — oznajmiła mężowi, gdy kładli się spać — ma ślówkę pod okiem i podrapaną twarz.

— Ho, ho — roześmiał się pan R. — nareszcie przestał być sa-

fandulą.  
— No wiesz! — zgorzyla się zatroskana nie na żarty pani doktor. A w chwili potem zapytała: — Szkoła wzywa na godzinę 11. Czy będziesz mógł pójść? Bo wolałabym, żebyś to ty...

— Nie ma mowy. Mówiłem ci przecież, że mam zjazd.

— Nigdy nie chodzisz na wykładówki.

— A po co? Przecież miałem zająć dobre stopnie.

— Tak, ale dobrze byłoby, żebyś kiedyś się tam, w szkole, pokazał.

— To już innym razem, moja miła, innym razem.

Dalszy bieg stosunków między Jurkiem a Gienukiem wzbudził nie mniejszy podziw od bójki: po dwóch dniach chłopcy z VI ujęli ze zdumieniem, że zaraz na pierwszej pauzie Gienek podszedł do Jurka jakby nigdy nie, i powiedział — bo byli i tacy, co to stylizeli: — Musimy to zbadać. Na co Jurek bez wahania odpowiedział: — To samo myślałem. — i po lekcjach wyszli razem ze szkoły. Obydwaj jednak przez te dwa dni pomizernieli, mieli tragiczny wyraz twarzy i unikali rozmów z kolegami. Wychowawca z klasy IV doniósł kierownikowi, że widział ich pogodzonych, wobec czego konflikt uznano za zażegnany.

Tymczasem sprawa wyglądała zupełnie inaczej: otóż tamtego dnia, kiedy obydwoj chłopcy w czasie dużej paury pobiegli do kiosku po zeszty (bo Jurek zapomniał swego, a miała być właśnie klasówka z matematyki), w chwili gdy mieli przebiec na drugą stronę ulicy — zabłysło czerwone światło zatrzymujące ich rozgadanych i roześmianych. Ale nie tylko ich, zatrzymało także kilka samochodów.

— O, patrz, mój ojciec! — zawołał nagle Jurek.

— Gdzie, gdzie?

— Ten w zielonym „Fiacie”.

— Ten przy kierownicy?

— Ten.

Gienek parsknął śmiechem.

— Czego się śmiejesz?

— Ale masz głupie zagrania.

— Jak to? Powiedziałem przecież tylko: „o, patrz, to mój ojciec”.

— Właśnie.

— Co właśnie?

— Coś ty, Jurek, zgłupiał?

Przebież to mój tata.

— Który?

— No ten, we „Fiacie”.

— Przecież mówiłeś — że wy nie macie samochodu?

— No to co? Nie może jechać cudzym „Fiatem”?

— Ale ten siedzi za kierownicą.

— I co z tego? Myślisz, że mój tata nie umie prowadzić wozu?

— Ależ to jest na pewno mój ojciec. Ten w szarym urbanie.

— A ja ci mówię, że mój. Cóż to, rodzony ojca bym nie poznał?

— A ja?

— Co, ty?

— No, a niby ja nie znam swego ojca?

Tymczasem zabłysło zielone światło. Obydwaj chłopcy równocześnie rzucili się na jezdnię, chcąc dobiec do zielonego „Fiacie”, ale „Fiat” na równi z innymi samochodami ruszył pełnym gazem i po chwili znikł z oczu chłopców. Milicjant gwizdał na nich przeraźliwie, gdy tak stali ogłupiali na jezdni, a których ze starszych przechodniów odciągnął ich na chodnik, karcąc surowo.

Nie poszli już do kiosku, zapomnieli zupełnie o klasówce, przystanąli przed bramą szkoły, patrząc wrogo na siebie.

— Ale mój siedział za kierownicą.

— I co z tego? Mogli się zamienić.

— Ale moim ojcem był ten, co siedział za kierownicą.

— Łesz.

— Ja łzę?

— Łesz. Jesteś wstrętny kłamczuch i w ogóle podlec. Kpisz ze mnie i z mojego taty. Myślisz, że ci to ujdzie na sucho?

Tu Gienek rzucił się na Jurka i zaczął go okładać pięściami.

Jurek z początku nie bronil się, jednak gdy Gienek podbił mu kulakiem oko, począł odparowywać ciosy.

— Ale w dwa dni potem Gienek podszedł na pauzie do Jurka i powiedział: — Musimy to zbadać.

I obmyślili wspólnie plan działania: Jurek upewnił się, czy w najbliższą niedzielę rodzice jego będą w domu. Dopytywał się szczególnie o ojca. Zdziwiona tym matka zapytała o powód. Odpowiedź syna zadziwiła ją: oświadczył, że zaprosił właśnie na ten dzień jednego ze swych kolegów i chciałby „pokazać” go ojcu. Pani R. powtórzyła to mężowi.

— Oho, to zupełnie coś nowego — roześmiał się pan inżynier.

W niedzielę, punktualnie o godzinie piątej zjawił się ów kolega. Otworzył mu drzwi sam Jurek i wprowadził od razu do swego pokoju. Zaczęli od oglądania zbioru znaczków Jurka, gdy weszła matka. Spojrzała na gościa i osłupiała: poznała w nim chłopca, z którym tak niedawno jej syn stoczył walkę. Opanowała się jednak i przywitała chłopca uprzejmym uśmiechem.

— Czy podać wam już podwieczorek? — spytała.

— Jeszcze nie — odparł spokojnie Jurek — chciałbym najprzód przedstawić Gienuka — ojcu.

— Ojciec jest w gabinecie. Zaraz go uprzedzę — i spiesznie wyszła. Po chwili wróciła. — Ojciec czeka — powiedziała.

Weszli obydwoj równocześnie, trzymając się za ręce.

— Ojcie, to jest mój przyjaciel — Gienek — powiedział Jurek, całą siłą woli opanowując drżenie głosu.

Pan R. siedział przy biurku. Na widok Gienuka wstał szybko z fotela, po czym bardzo powoli siadł w nim z powrotem. Chłopcy z napiętą uwagą obserwowali jego reakcję. Nie uszło więc ich uwagi, że pan R. zmienił się na twarzy. Chwilę trwało jakieś złowiesze milczenie.

— Więc to ty jesteś przyjacielem Jurka! — powiedział wreszcie dziwnym tonem pan R. A po chwili: — Miło mi jest poznać cię. Bardzo się cieszę, że mój... że Jurek znalazł sobie wreszcie przyjaciela.

Pobladał twarz Jurka rozświetlił uśmiech radości. Szybko zgasił jednak, gdy chłopiec spojrział na kolegę: Gienek wyglądał strasznie, był trupio bledy i chwiał się na nogach. Przerażony Jurek podsunął mu czym prędzej krzesło, na którym Gienek siadł tak ciężko, jak siada stary człowiek.

Pan R. zdawał się tego nie widzieć. O nic też nie zapytał. Jakimś drewnianym głosem mówił coś o przyjaźni jako wartości nieprzemijającej, o szczególnej wadze przyjaźni z lat wczesnej młodości, z czasów szkolnych, trwającej niekiedy całe życie.

Chłopcy słuchali tego w milczeniu. Gienek ze spuszczonej oczyma, Jurek, zerkając nieznacznie na Gienuka, zaniepokojony jego wyglądem. Odetchnął, gdy weszła matka, zapraszając chłopców na podwieczorek. Wyszli w milczeniu. Także w milczeniu pili herbatę i z niezrozumiałym śmiechem jedli podsuwane im ciastka, po czym, po powrocie do pokoju Jurka, wrócili do oglądania znaczków.

W pewnej chwili jednak Gienek oznajmił, że musi już iść, bo mu jest młodo. Jurek zatroskał się znowu, chciał bieć do domowej apteczki, ale Gienek mu nie pozwolił. Wyszli razem, mimo protestów Gienuka. Gienek szedł szybko i wyraźnie zmierzając do skwerka zarosniętego krzakami bzu. Rozchylił gałęzie, wszedł w gęstwinę i zaczął gwałtownie wymiotować. Przerażony Jurek próbował go podtrzymać, ale Gienek odepchnął go brutalnie. Gdy po długiej chwili wyszedł wreszcie z tych krzaków, nie spojrzawszy nawet na Jurka, wsadził ręce w kieszenie i wydając z siebie świst, który prawdopodobnie miał być niefrasobliwym pogwizdywaniem — odszedł, pozostawiając Jurka w stanie zupełnego osłupienia...



Najważniejsze zadanie w całym 3 batalionie 15 pułku Schutzpolizei otrzymał niewątpliwie oberlejtnant Mueller, pełniący obowiązki dowódcy 10 kompanii. Jego oddziałowi przypadała w udziale połozona 7 kilometrów na wschód od Mokran wieś Borki, najgęściej zaludniona spośród trzech, jakie miał zlikwidować 3 batalion w dniu 23 września 1942 roku.

Kilka dni później w swoim raporcie oberlejtnant Mueller pisał:

„Operacja odbywała się planowo, wyjąwszy kilka odchyłań w czasie. Główna przyczyna tego była następująca: Na mapie wieś Borki pokazana jest jako zwarte osiedle. W rzeczywistości okazało się, że rozciąga się ona na 6 do 7 kilometrów wzdłuż i wszerz.

Kiedy stwierdziłem to oświadczenie, rozszerzyłem pierścien okrążenia od strony wschodniej i zorganizowałem otoczenie wsi formą kleszczy, przy równoczesnym zwiększeniu dystansu między posterunkami. W rezultacie udało mi się schwytać i dostarczyć do punktu zbornego wszystkich bez wyjątku mieszkańców. Korzystne okazało się to, że cel, dla którego zbierano ludność, do ostatniego momentu nie był jej znany.

Na punkcie zbornym panował spokój, co pozwoliło do minimum ograniczyć liczbę posterunków i uwolnione w ten sposób siły wykorzystać w dalszym biegu operacji. Oddział przeznaczony do kopania mogił otrzymał łopaty dopiero na miejscu przeznaczonym do rozstrzelania, dzięki czemu ludność do końca pozostawała w nieświadomości tego, co ją oczekuje...

Rozstrzelanie rozpoczęło się o godz. 9 i skończyło się o godz. 18. Odbywało się bez żadnych komplikacji... Rozstrzelano 705 ludzi, z tego mężczyzn 295, kobiet 372, dzieci 130.

Lieźba zebranego pogłowia: koni — 45, bydła rogatego — 250, cieląt — 65, świń i prosiąt — 450, owiec — 300. Z inwentarza zebrano: 70 wo-

zów, 200 plugów i bron, 5 wialni, 25 sieczkarni...

Przy przeprowadzeniu operacji w Borkach użyto: naboju karabinowych — 786 sztuk, naboju do automatów — 2496 sztuk. Strat w kompanii nie było. Jeden wachmistrz z podejrzeniem zoltacki odesłany został do szpitala w Brześciu.

O tragedii mieszkańców polskiej wsi Borki wspomina radziecki film dokumentalny poświęcony hitlerowskiemu zbrodniom, popełnionym na Białorusi. Film osnuty jest na kanwie tragicznego losu innej wsi, położonej o wiele dalej na wschód na ziemiach białoruskich. Ukazując pomniki hitlerowskich zbrodni, sięga jednak również na zachód, w pobliże obecnych granic Polski, gdzie na Polesiu, w Kobryniu, stacjonował 3 batalion Schutzpolizei. W filmie cytuje się również fragment z przytoczonego tutaj raportu oberlejtanta Mueller.

Zapoznanie się z tym raportem stało się możliwe dzięki pewnemu przypadkowi w styczniu 1943 roku. Otóż posuwającym się naprzód oddziałom radzieckim na froncie woroneskim udało się przechwycić niezniszczone dokumenty 3 batalionu, 15 pułku Schutzpolizei, a wśród nich szereg dokumentów pozwalających odtworzyć całą akcję batalionu w dniach 23-26 września przeciw polskim wsiom: Borki, Borysówka i Zabłocie, położonym między Mokranami i Diwinem, w odległości niespełna 50 km na południo-wschód od Brześcia nad Bugiem.

Wśród dokumentów znalazły się:

— rozkaz operacyjny batalionu z dnia 22 września 1942, wyznaczający 9 kompanię oraz zmotoryzowany pluton żandarmerii do zniszczenia wsi Borysówka, 10 kompanię — do wsi Borki i 11 kompanię do wsi Zabłocie;

— raporty dowódców kompanii opisujące przebieg operacji;

— raport dowódcy batalionu majora Gollinga, sumujący całość akcji;

— dziennik działań bojowych batalionu, obejmujący



## Akcja trzeciego batalionu

okres od 11 września do 24 listopada 1942 roku, a więc i dni, w których przeprowadzono operację przeciw trzem polskim wsiom.

Raport o akcji przeciw Zabłociu podpisał dowódca 11 kompanii, kapitan Pells.

Oto fragment, przedstawiający zasadniczą część akcji: „23 września około godziny 2 kompania podjechała ku pierwszemu, oddzielnie stojącemu zabudowaniu Zabłocia. Kiedy główne siły posuwały się dalej w głąb wsi, oddzielnie stojące zabudowania były otaczane przez wydzielony do tego oddział, a mieszkańcy wyprawdani z domów. W ten sposób jeszcze przed wejściem do wsi zatrzymano 25 mężczyzn i kobiet.

Mieszkańcom w chutorze starości wsi rozkazano stawić

się o godz. 5.30 przed dowódcą kompanii, znajdującym się przy wejściu do wsi. Do tego czasu bez zakłóceń został rozstawiony zewnętrzny pierścien okrążenia. Całą ludność, na czele ze starostą, zagnano do budynku szkoły, a przybyła w międzyczasie grupa SD po dokładnym sprawdzeniu zwołała 5 rodzin z tej wsi. Wszystkich pozostałych rozdzielono na trzy grupy i rozstrzelano na miejscu egzekucji, przygotowanym uprzednio przez męską ludność wsi.

Egzekucja przebiegała planowo, bez żadnych nieprzewidzianych wydarzeń, jeśli nie liczyć jednej próby ucieczki (...).

Egzekucję ukończono około godz. 12.

Przejęcie domostw, zbór inwentarza i bydła zostały

zakończone 27 września o godz. 10.30 i wówczas można było przystąpić do spalania zabudowań (...).

Rezultaty operacji przedstawia się następująco: rozstrzelano 289 ludzi (kapitan Pells nie rozbił tego w swoim raporcie na mężczyzn, kobiety i dzieci — przyp. w.m.), spalono 151 zabudowań, zabrano 700 sztuk bydła rogatego, 400 świń, 400 owiec i 70 koni. Wywieziono ziarna: 300 centnarów omlóconego i 500 cent. nieomlóconego.

Akcja przeciw Borysówce dowodził kapitan Kasper na czele 9 kompanii.

„Rankiem około godziny 4.00 — pisze w swoim raporcie — wieś została otoczona z południa i północy przez dwa plutony. O świcie starosta z Borysówki zwołał całą ludność. Po kontroli przeprowadzonej przy współdziałaniu policji bezpieczeństwa (SD) 5 rodzin zostało przesłanych do Diwina. Pozostali byli rozstrzelani przez oddzielnie wydzielony oddział i pochowani w odległości 500 m na północny wschód od Borysówki.

Ogółem rozstrzelano 169 osób, w tym 49 mężczyzn, 97 kobiet i 23 dzieci (...).

Po podaniu liczb zagrabionego inwentarza żywego i martwego kapitan Kasper przystępuje w swoim raporcie do przedstawienia niektórych trudności w dokładnym przeprowadzeniu akcji w Borysówce. Wynikały one z rozrzuconego charakteru zabudowy wsi. Niektóre dwory i chutory znajdowały się bowiem w odległości 400 do 500 metrów od siebie i rozłożone były w promieniu, sięgającym 5 kilometrów od centrum, tak że w rezultacie nie zawsze można było ustalić, które z nich należą do Borysówki i podlegają zniszczeniu, a które — nie.

Największą jednak trudność wynikała stąd, że siły jednej kompanii okazały się niewystarczające do jednorazowego otoczenia tak dużego obszaru, co spowodowało — jak pisze kapitan Kasper — taki defekt akcji, że części mieszkańców udało się uciec.

Na te niedostatkii akcji zwraca również uwagę w

swym sumującym całość raportie dowódca 3 batalionu major Golling. Podkreśla zwłaszcza szczupłość sił wykonanych do akcji w tak trudnym terenie oraz niedokładność map, przyczyniającą dodatkowych kłopotów dowódcom oddziałów.

Kompleksowa akcja 3 batalionu Schutzpolizei w ciągu trzech wrześniowych dni przyniosła śmierć 1163 ludziom i zagładę trzem wioskom.

Nie był to jednak jakiś wyjątkowy wyczyn w historii batalionu. Jak wynika ze wspomnianego Dziennika działań bojowych, w okresie dwóch i pół miesiąca, jakie obejmuje Dziennik, ofiarą batalionu padło 44.837 osób, z czego tylko 113 było partyzantami. Reszta, to mieszkańcy takich właśnie wsi, jak Borki, Borysówka, czy Zabłocie — w przeważającej mierze kobiety i dzieci, albo żydowska ludność z osiedli i miasteczek.

Dodać tu można, że 10 kompania 3 batalionu, ta, która wymordowała mieszkańców Borek, mniej więcej miesiąc później skierowana została do Pińska, gdzie między 29 października a 1 listopada uczestniczyła w masowej likwidacji miejscowej ludności pochodzenia żydowskiego.

Ostatni zapis w zachowanym Dzienniku działań bojowych batalionu dotyczy dnia 24 listopada:

„9 kompania wysłała oddziały egzekucyjne do Pawłopola (18 km na północ od Mokran), Kletyszcza (15 km na południo-zachód od Diwina), Doropiejewiczów (15 km na północ od Mokran) i Małych Korezy (12 km na południe od Kobrynia).

10 kompania odbyła nocny marsz w rejonie Kropiwnik (31 km na północ od Maloryty).

W Malorycie zlikwidowano 2 mężczyzn, 3 kobiety i 3 dzieci.

Prowadzi się działalność zwadłowczą i rozpoznawczą w rejonie Turu...”

W tym czasie zapewne już pierwszy śnieg przykrył wystygłe zgłiszca Borek, Borysówki i Zabłocia — terenu wrześniowej akcji 3 batalionu,

(wm)

HORACY SAFRIN

## KULTURA NA WESOŁO

Moiście wy, kochani! Nie zamierzam w niniejszym felietonie pisać o rodzimych komediotwórcach, pobudzających nas od czasu do czasu do śmiechu, a częściej do łez. Nie ośmielał się również — uchowaj mi! — wkraść w poświęconą domenę telewizyjnych programów rozrywkowych, albowiem najlepszej rozrywki dostarcza mi zazwyczaj... prognoza pogody. Chciałbym jedynie w aspekcie historycznym odtworzyć kilka szczegółów dotyczących tak zwanej kultury życia codziennego, o której moi rówieśnicy mawiają z westchnieniem: „O tempora, o mores!”

A natchnął mnie do tych wspomnień powszedni obrazek, taka sobie malutka wycinanka z życia emocjonalnego naszej młodzieży. Spacerując późnym wieczorem po opustoszałym skwerze zauważyłem dorodną parkę nastolatków, siedzącą w cieniu, z dala od świateł neonowych na dwóch przeciwległych krawędziach ławki. Do uszu moich dotarły strzępy ich ożywionej rozmowy. Rozprawiali o jakimś filmie, usly-

szalem dość wyraźnie imię i nazwisko Audrey Hepburn. I co powiecie? Po upływie mniej więcej dziesięciu minut spotkałem tę samą parkę, tym razem kroczącą po rzęście oświetlonym chodniku alei Kościuski. Szli objęci, darząc się wzajemnie, w sposób nieco ostentacyjny, gorącymi pocałunkami. Wyglądało to na demonstrację przeciw nie zachwianym kanonom pewnych kół mieszczańskich, gdzie tylko podczas uczy wesołej, na hasło „gorzko” wolno oblubieć całować się publicznie, to jest w zasięgu wzroku bliższej i dalszej rodziny.

Mimo woli cofnąłem się pamięcią do lat pacholecych, zwanych w języku eskulapa „wiekiem pokwitania”. Awansowałem wtedy do roli przywołki, towarzyszącej osiemnastoletniej siostrzyczce na przechadzkach z miedziannowłosym aplikantem adwokackim. Wyznaję ze skrućką, że poznałem już wówczas rajski smak lapownictwa. Oddalając się w zgola niedopuszczalny sposób, pozostawiałem zawierzoną pieczę parę w błogim tete à tete — za cenę pięciu grajcarów, które wymieniałem

na mroźną mieszkankę cukierni, jaje i nie zawsze świeżej śmietany prosto z wózka okuszającym napisie „fayae lodi”...

W owych latach zapoznawałem się stopniowo z indeksem zakazanych, a więc „niekulturalnych” słów.

Pamiętam: podczas ferii wielkanocnych złożyłem wizytę wiele dystyngowanemu wujostwu. Siedzieliśmy przy suto zastawionym stole: ciocia „Madame” w ewikierze na nosie i dwie kuzyneczki — blondynki, z których jedna przekroczyła dwudziestkę, druga zaś liczyła sobie osiemnaście wiosen.

— A co porabia nasza miła Zosienka? — spytała o zamężną siostrę wytworna szwagierka mojej rodzicielki.

— Zosienka jest w ciąży — stwierdziłem rzeczowo.

W tej chwili poczułem na palcach lewej nogi przygniatający ciężar damskiego buta, a ciotka obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem. Rozmowa ułknęła na martwym punkcie.

Dopiero w przedpokoju, wykorzystując chwilowo sam na sam, czcigodna matrona pocięła mi półgłosem:

— Henio, zapamiętaj raz na zawsze! W obecności młodych dziewcząt nie używa się tak nieprzyzwoitych słów... Co prawda, poglądy ciotki „Madame”, jeśli ciotki u wychowanie latorosli naszego rodu, podzielała w pełni żługoletnia guwernantka, która wpałała mi zasady dobrego zachowania się w domu, na ulicy i przy stole. Dowiedziałem się wtedy, między innymi, że siadając w cukierni tymem do niezajomej damy, należy ją wpięty za ten niaktat przeprosić.

Mimo tych, jakże częstych lekcji kultury „na co dzień”, nie mogłem zrozumieć incydentu, który zachwiał we mnie wiarę w uprzywilejowane stanowisko szanującej się kobiety.

Pewnego czerwcowego dnia, w samo południe, rozjuszone panie „z towarzysztwa” poturbowały parasolkami mielsocową ślicznotkę, która od-

ważyła się pokazać na korcie w sukni paryskiej „jupe-culotte”, przypominającej poniekąd nasze skromne „spodniuni”.

Chciałem podzielić się moimi wątpliwościami z naszą wychowawczynią, gdy usłyszałem z ust mamany bezapelacyjny wyrok:

— Kobieta w spodniach — to obraza boska!

A my, poddani sędziwego monarchy Austro-Węgier, byliśmy szczególnie uczuleni na wszelkiego rodzaju obrazy. Palestra sądowa i adwokacka uginęła się literalnie pod brzemieniem skarg o „obrażę honoru”, zwanych potocznie „pyskówkami”. W imię kultury mieszczańskiej uwzględnił nawet ten stan rzeczy obowiązujący w kraju Habsburgów kodeks karny. W myśl jakiegoś tam artykułu czy paragrafu wydanego przez prawodawczych kauzypedów, przyłapanego na gorącym uczynku złodzieja nie wolno było nazywać po imieniu z wyraźną aluzją do uprawianego przez „rzemiosła”, ale oświadczyć grzeźnie i kulturalnie: „Panie! (koniecznie „panie”, przywłaszczyl pan sobie bezprawnie należące do mnie imię!” W przeciwnym bowiem wypadku obrażony rzemieślnik mógł wnieść do sądu kolejną „pyskówkę”...

Skoro mowa o „obrażę honoru”, pozwolę sobie przytoczyć migawkę z cesarsko-królewskiego sądu, która utrwałała się w mojej piętnastoletniej podówczas głowie: Przed rodzimym obliczem osiwiatego radcy stał chłop z Mykietyniec, oskarżony o ciężkie, pobicie sąsiada. W ślad za nim wkraça na salę sądową poszkodowany z obwiązany łbem i ciemnoniłowym guzem u nasady aosa. Towarzyszy mu barwny orszak świadków i gapiów obojga płci.

Sędzia obrzuca powłóczytym spojzeniem gromadkę spragnionych sensacji kmiotków i nie bawiąc się w ceregiele prawne zadaje oskarżonemu podchwytliwe pytanie:

— Powiedźcie sądowni, za co pokiereszowaliście tak dotkliwie sąsiada Fedkę Hrycaka?

— Za przeproszeniem pana sędziego — odpowiada świadomy swojej racji delikwent.

— Wszystko wyznam jak księdzu na spowiedzi...

A utkwivszy w poszkodowanym Fedce wzrok bazyliżkowy, kontynuuje swe zwierzenia: — On mi powiedział „ty złodzieju!” — ja jego nie. On mi powiedział „ty bandyto!” — ja jego nie. On mi powiedział „ty sukisynu!” — ja jego nie. On mi powiedział „ty inżynier!” — a ja jego buch w mordę!!!

I o dziwo! Twarz osiwiatego radcy w todzie i biracie ani drgnęła, na wargach nie zakwitł nawet bladej uśmiešek. Rzecznik sprawiedliwości znalazł bowiem niepisane prawo wiejskie.

Onego czasu, gdy uwłaszczano chłopów, panowie geometry (tytułujący się inżynierami), co żyźniejsze pola przydzielali dworom, nieużytkami zaś i podmokłymi łakami szczerze obdarzał wyzwoleńczych z pańszczyźnianego jarzma włóścian.

Odad słowo będące równoznacznikiem ukończenia studiów politechnicznych uchodziło wśród ludności wiejskiej za śmiertelną obrazę.

## Spektakle tygodnia

ZA OKRES OD 21 DO 27. II. 1972 R.

TEATRY

	fiość spekt.	liczba widzów	proc.
<b>WIELKI</b>			
„Uprowadzenie z Seraju”	1	1260	100
„Wieczór baletów polskich”	1	1260	100
„Madame Butterfly”	1	1230	100
„Henryk VI na łowach”	1	1260	100
„Orfeusz w piekle”	1	1260	100
<b>NOWY</b>			
„Prometeusz”	3	1680	80
„Żołnierz i bohater”	2	1400	100
<b>NOWY MALA SALA</b>			
„Kociol”	4	800	100
„Ofiary obowiązku”	1	200	100
„Urodziny”	1	200	100
<b>POWSZECHNY</b>			
„Perla”	2	1360	100
„Królewskie polowanie na słońce”	2	960	87
<b>JARACZA</b>			
„Wilki”	2	791	77
„Piacówka”	1	551	100
<b>7.15</b>			
„Po górach, po chmurach”	5	1579	75
„Trędowata”	2	842	100
<b>OPERETKA</b>			
„Kaper królewski”	6	5330	79



ZBIGNIEW ŁAPIŃSKI

# ZJAZD UNII PISARZY - MEDYKÓW

**D**ZIĘKI uprzejmości i zainteresowaniu redakcji zamieszczałem już dwukrotnie na łamach „Odgłosów” relacje dotyczące ruchu literackiego wśród pracowników służby zdrowia w Polsce. Zaiste, dobry był pomysł, aby właśnie w tym środowisku, które ma tak bogate tradycje literackie, powziąć decyzję nie tylko ich pielęgnowania, lecz także dalszego twórczego kontynuowania i programowania na przyszłość.

W 1966 r. pięciu polskich lekarzy, między innymi autor niniejszego doniesienia, którzy wzięli udział w Międzynarodowym Kongresie w Debreczynie (Węgry) wystąpiło z inicjatywą powołania w Polsce organizacji lekarzy i przedstawicieli pokrewnych zawodów, zajmujących się aktywnie działalnością literacką. Już w 1967 roku został zorganizowany I Krajowy Zjazd Lekarzy-Pisarzy w Radziejowicach, w trakcie którego powołano do życia Unię Polskich Pisarzy-Medyków (U.P.P.M.). Wraz z jej powstaniem zaczęło się świadome i planowe propagowanie w naszym środowisku tradycji literackich, tak ważnych zarówno dla rozwoju literatury i nauk lekarskich, jak i dla postępu społecznego.

W tygodniku „Służba Zdrowia”, zajmującym się fachowymi problemami wkładka literacka, powstała wkładka literacka, publikująca utwory artystyczne członków Unii i prowadząca kronikę wydarzeń kulturalnych. Jej dyrektorem jest wieloletni redaktor „Szpilek”, Arnold Mostowicz. Poza spotkaniami autorskimi przedstawiciele Unii dużym wydarzeniem w jej życiu są sympozja literackie. Przedmiotem tych okresowych zebrań cieszących się dużym zainteresowaniem i licznym audytorium, jest konfrontacja medycyny i literatury, idei i rzeczywistości, a także działalność kulturotwórcza oraz literacka dawnych i współczesnych, polskich lekarzy.

Wyrazem ożywionych zainteresowań były zorganizowane dwa konkursy literackie. Laureatką jednego z nich została Danuta Biełkowska. Niewątpliwie z dużym uznaniem należy przyjąć nabierającą węża na żywotności i różnorodności inicjatyw działalności Unii.

Niejaką podsumowaniem dotychczasowej działalności oraz wytyczeniem kierunku dalszego rozwoju Unii był odbyty ostatnio w Warszawie II Krajowy Zjazd Unii.

Włodzimierz Maciąg przedstawił w swoim referacie obraz lekarza widzianego oczyma klasycznej literatury i współczesnych pisarzy. W interesującym wywodzie przewijał się żal, że lekarz przestał być bohaterem w tradycyjnym ujęciu, w którym Camus widział go na piedestale najwyższego poświęcenia i urealniał z najwyższą laicką świętością. W dość nieoczekiwany sposób W. Maciąg przeciwstawił specjalizację lekarską — autorytetowi, a obecną wiedzę — humanizmowi. Jego zdaniem aktualny postęp w medycynie ogolocił ją z czaru i spłycił jej charakter. W końcu wypowiedzi odezwała się tęsknota mówcy do przebrzmiałej już postaci lekarza — zamawiacza i czarnoksiężnika.

Polemiką z tym stanowiskiem była rozprawa wyżej podpisane go „Współczesny lekarz w świetle idei”, która zakłada, iż ideału lekarza nie można modelować w oderwaniu od rzeczywistych i aktualnych warunków oraz złożonych zjawisk społecznych. Opec-

nie jesteśmy świadkami procesów konfrontacji, jaka przeprowadza społeczeństwo, mierząc według dawnych kryteriów sylwetkę współczesnego lekarza. I chociaż wzorzec obecnego lekarza odbiegał bezpowrotnie od tradycyjnego ideału, nie obniżyło to, a wręcz przeciwnie — nieporównywalnie zwiększyło lecznicze możliwości.

Wystąpienie Aleksandra Jankiewicza było nie tylko próbą jego krasomówczych możliwości, lecz także niezwykle interesującym studium na temat często przewijającego się w filmie problemu psychicznie zwichniętych ludzi.

Julian Aleksandrowicz położył szczególny nacisk na powiązanie literatury ze zdrowiem społecznym i wpływ pięknie pisanego, literackiego słowa na realizację idei właściwie pojętej, fizycznej i moralnej kultury społeczeństwa. Uzupełnieniem bogatej tematyki pierwszego dnia Zjazdu było obszernie, a przy tym nie nudzące przedstawienie przez Adama Barona i Jerzego Kosa sylwetek pisarzy-medyków i ich dorobku w powojennym 25-leciu.

Drugi dzień Zjazdu miał charakter co prawda organizacyjny, lecz niezwykle istotny dla Unii. Przewodniczącym został nadal J. Lutowski, który tegoż dnia zabrał głos na temat celów i zadań Unii. W swojej obszerniej wypowiedzi nakreślił nie tylko zamierzenia Unii, lecz także zawarł własne, interesujące credo.

Poza wyżej wymienionym ciężar kierowania Unią wzięli na swoje barki w charakterze wiceprzewodniczących: Danuta Biełkowska i Bronisław Saldak (miły docent, a przy tym energiczny naczelny redaktor „Służby Zdrowia”). Niewątpliwie pod taką batutą Unia nabierze intensywniejszych rumieńców, które zwróca na nią uwagę przepięknie ZLP. Wreszcie może zainteresuje się on łaskawiej swoja skromna, lecz ambitna i pochodząca z najprawdziwszego łoża siostrzenica.



Fotografia przedstawiająca jedną z uczestniczek Zjazdu Unii Pisarzy-Medyków.

## Przeszłość i teraźniejszość

„Nie ulega wątpliwości w szerokim odczuciu Polaków w kraju i za granicą znaczenie integracyjne i emocjonalne — w najszlachetniejszym sensie — całego dzieła odbudowy zamkowej”. Pamiętna decyzja z 20 stycznia 1971 roku, stanowiąca nawiązanie do uchwały sejmowej z 2 lipca 1949 roku, przecięła wreszcie pasmo wahań i nieporozumień, jakie przez długie lata narastały wokół sprawy odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Spotkała się z ogromnym społecznym rezonansem wśród Polaków w kraju i za granicą, dając tym raz jeszcze świadectwo starej prawdzie, że wymuszone milczenie nie władne jest stłumić ludzkich pragnień, a gdy realizowane jest natchnieniem, skutecznie przyczynia się do ich zaktywizowania. Znaczenie styczniowej decyzji polega na tym, że pozwoliła ona ujawnić się tym pragnieniom i stworzyła warunki po temu, by mogły się one przekształcić w działanie. W ten sposób — mówiąc sło-

wami Aleksandra Gieysztorą — przywróciła sprawie „należną jej rangę obowiązku społecznego wobec kultury narodowej”.

Przedsięwzięcie ogromne, ale przecież — jak potwierdzają to specjaliści — najzupełniej wykonalne, „Odtworzenie z ruin i ze szczątków Zamku Królewskiego w Warszawie — powiada historyk — będzie przedsięwzięciem nietatym, ale do wykonania w pełni możliwym. Rozporządzamy nie tylko dokumentacją pomiarową i ikonograficzną, ale i znakomitymi oczami, pamięcią i rękami tych, co Zamek dobrze znali... Mamy też bogate doświadczenie i rozpoznanie podstaw naukowych rekonstrukcji i konserwacji zabytków, reprezentowane przez starsze i młodsze pokolenia uniwersyteckie, politechniczne i skupione w Państwowych Pracowniach Konserwacji Zabytków. Dysponujemy wiedzą i umiejętnością pracowników budowlanych i rzemieślniczych, których pięk-

nym dorobkiem i przykładem zwycięstwa idei odtwarzania stały się Łazienki Królewskie”. Zaczerpnąłem te słowa ze wstępu pióra A. Gieysztor

## Przewodnik po Zamku Królewskim

do wydanej ostatnio przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe pięknej książki pt.: „Zamek Królewski w Warszawie. Architektura — Ludzie — Historia” (1972). Jest ona godna uwagi nie tylko dlatego, że zadaje kłam przekonaniu, jakoby wychodzenie naprzeciw społecznemu zamówieniu musiało być zawsze najłagodniejszym z atutów w działalności naszych domów wydawniczych. Praca ta jest adresowana do najszerszych kręgów odbiorców i ma na celu przedstawienie „historii, architek-

tury i urbanistyki, wyposażenia i funkcji wnętrza, instytucji i ludzi, wydarzeń i zjawisk widzianych w ciągu siedmiu prawie stuleci na książkowym grodzie i zamku

gotyckim, na królewskim zamku renesansowym, barokowym i klasycystycznym aż do zniszczenia znaczonego datami pożaru 17 września 1939 r. i wysadzeniem murów 10 grudnia 1944 r.”. Autorzy przedstawili tutaj dzieje walki o ocalenie zamkowych dóbr kultury narodowej i zabiegów zmierzających do pełnej rekonstrukcji Zamku aż do chwili dzisiejszej. Książka informuje więc zarówno o przeszłości, jak teraźniejszości i o niedalekiej przyszłości Zamku Królewskiego w Warszawie.



ERL-69 DONOSI

Wspomnienia Eryka Lipińskiego nieco mnie rozczarowały. Wiem dobrze, że to nie wina autora, ale legendy. Był Lipiński twórcą „Szpilek”, jest jednym z najciekawszych, najpopularniejszych, najdowodniejszych grafików-karykaturzystów... A poza tym przyjaciele, którzy zdolali wcześniej wydać swoje pamiętniki, zrobili mu reklamę niebywała. Przewijała się w tych wspomnieniach postać Lipińskiego — anegdociarza, figlarza, fantasty. Któż po takiej reklamie może potem napisać wspomnienia na miarę legendy?

Pisze więc Eryk Lipiński skromnie: „wiadomości o moim życiu są przeważnie grubo przesadzone lub wręcz sprzeczne”. Sprzeczne są również relacje choćby z „pierwszomajowego” dowcipu, jaki zrobił Tuwimowi Żaruba i Lipiński. Ale nie w tym rzecz. Książka jest uroczą i ciekawa — przynosi sporo faktów nieznanych, nie tylko z życia Lipińskiego. Jest to właśnie gawęda, albo raczej zbiór obrazków — felietonów, okraszonych mnóstwem anegdot. Jest to jeszcze jeden przyczynek do dziejów międzywojennej bohemy, prasy...

Podkreślanie, że książka jest niezwykle dowcipna, nie miałoby sensu — napisał ją przecież wieloletni redaktor naczelny „Szpilek”. Nawet okupacyjny rozdział, w którym mieszczą się i aresztowania i Oświęcim, potrafił Lipiński rozświetlić jakimś madrym, filozoficznym spokojem, zawrzeć w nim ów dystans, pozwalający na uśmiech.

Uroczą książką, choć odłada się ją z uczuciem niedosytu, z wrażeniem, że autor nie napisał jeszcze wszystkiego, że wiele

historii „z życia” pozostało poza karakami wspomnień.

Eryk Lipiński „ERL-69 DONOSI”, Iskry, 1972, cena 20 zł.

PRASA 1939-1947

W „Bibliotece Syrenki” nowa pozycja. Postępowa dziennikarka, Jadwiga Krawczyńska, przedstawia w swoich „Zapiskach” lata ostatniej wojny w Warszawie oraz początek odbudowy życia w stolicy w latach 1945-1947. Książka zainteresuje oczywiście wszystkich miłośników „varsavianów”, zwłaszcza, że autorka pracując w czasie okupacji w konspiracyjnej prasie, ogarnia dość szeroko wiele ważnych wydarzeń w stolicy, których była i świadkiem i uczestnikiem.

Szczególnie cennym przyczynkiem do historii powstania warszawskiego jest rozdział poświęcony walkom powstańcom na Mokotowie. Dopiero przy czasach najnowszych wnikliwość spostrzeżeń Krawczyńskiej jakby osłabła. Trafiają się ogólniki, enigmatyczne omówienia...

Pisząc o swej pracy w podjętym „Kurierze Codziennym” stwierdza: „w wydawnictwie nastąpił jakiś rozkład dotychczasowych sił i wpływów”. O co chodzi? Czy po 30 bliskich latach nie można pisać wprost? Pisząc o wybitnym dziennikarzu, Józefie Wasowskim, naczelnym „Kuriera” stwierdza: „był zniechęcony okolicznościami, które doprowadziły go niebawem do ustąpienia z redakcji”. Jakimi okolicznościami? Pisząc o tragicznej śmierci sprawozdawcy „Kuriera” z procesu norymberskiego też zasłania się autorka stwierdzeniem: „nie chcę robić domysłów”. Dlaczego? Przecież to dobre prawo pamiętnikarza.

Tak więc najmocniejszą i najcenniejszą stroną „Zapisków” Krawczyńskiej pozostaje część okupacyjna. I dla tych blisko 300 stron wspomnień warto kupić nową publikację „Syrenki”.

J. W.

Jadwiga Krawczyńska „ZAPISKI DZIENNIKARSKIE WARSZAWSKIEJ 1939-1947”, PIW, 1972, cena 30 zł.

Wstęp i zarys jego najdawniejszych dziejów wstąpił spod pióra mediewisty A. Gieysztor, czasy Wawów i Sasów opracował wybitny znawca dziejów kultury tej epoki W. Tomkiewicz. „Zamek Stanisława Augusta” — to tytuł rozdziału, napisanego przez jednego z najbarliwszych rzeczników sprawy odbudowy, St. Lorenza. S. Herbst zajął się dziejami Zamku w czasach zaborów i Drugiej Rzeczypospolitej. Całość dziełka wieńczy rozprawka historyka architektury, znakomitego znawcy problematyki odbudowy zabytków J. Zachwatowicza, pod znamiennym tytułem: „Zamek zniszczony i sprawa jego odbudowy”. Książka ta jest tedy dziełem najwyższej specjalistów, zajmujących się od wielu lat zagadnieniami warszawskiego Zamku, którzy dzisiaj stanowią trzon naukowej kadry ekspertów w pracach nad jego odbudową. Przesądza to o jej wartości.

W „Apelu”, wydanym na pierwszym, organizacyjnym posiedzeniu Obywatelskiego Komitetu Odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie dnia 26 stycznia 1971

roku znalazły się następujące słowa: „Są wartości materialne i są takie — których uważać i zmierzyć niepodobna. Zamek był i będzie nie tylko najstarszym — dzięki ocaleniu i zachowaniu autentycznych fragmentów dzieł sztuki i pamiętek historycznych — gmachem w Warszawie, ale przede wszystkim stanem się, jak był w ciągu wieków minionych, pomnikiem łączącym przeszłe, współczesne i przyszłe pokolenia Polaków, świadectwem ciągłości narodowych dziejów”. Grono uczonych, którzy pracują nad rekonstrukcją zabytku, stwierdza dzisiaj, że „siedzibą naczelnych władz suwerennej Rzeczypospolitej, miejsce bogate w tradycje polskiego parlamentaryzmu, uwieńczone Konstytucją 3 Maja, kolebka Komisji Edukacji Narodowej, ofiara zacieklej nienawiści hitleryzmu skoncentrowanej na tym obszarze — symbolu, Zamek Królewski w Warszawie podniesie się znowu w sposób godny serc i umysłów polskich ostatniego ćwierćwiecza XX wieku”.

JOZEF GRZELAK

# W ŁODZI BYŁA „LOVE STORY“

W PEWIEN wieczór lutowy, słynny film „LOVE STORY“ otworzył w Łodzi Przegląd Filmów Amerykańskich. Filmy udostępniła ambasada USA. Przegląd zaś zorganizowała PWSFTiTV. Lagodnie szumiały drzewa w parku obok kina 1 Maja, dyskretnie rozchlapwały błoto samochody szczęśliwców, posiadających karty wstępu, słowem, wszystko było tak, jak później na filmie: elegancko, cicho i w dobrym tonie.

Wprawdzie zdarzył się mały nietakt u wejścia, kiedy nie chciano wpuszczać Ważnej Osoby pięci męskiej, która obfitością loków i powłóczystością stroju odbijała od nie dorównującej reszty. Osoba udowodniła jednak swoją ważność i posiadanie karnetu, zatem incydent zażegnano i pokaz mógł się rozpocząć.

Organizatorzy zatroszczyli się o nastój swobodny i serdeczny. Pierwsze ujęcia filmu minęły w słodkim skupieniu. Później wszakże odezwały się głosy: „Prosimy o tłumaczenie”. Następne formy nawoływań przyberały na siłę wraz ze wzrostem zniecierpliwienia widowni. W miarę, jak wolania narastały, potężniał również trząsk uruchamianego naprędce mikrofonu. Wreszcie popłynęła z głośnika polska mowa z opóźnieniem mniej więcej pół aktu w stosunku do dialogu ekranowego. Wynikło stąd wyrażone zestawienie kontrastowe i spontaniczny komizm. W ten sposób dzieło obecnej kinematografii zostało wzbogacone artystycznie i sytuacja nabrała wdzięku znanego z filmów polskich.

Kiedy pokatna informacja o niezgodności tłumaczenia z oryginałem dotarła gdzie trzeba, lektorka oznajmiła salę, że brakuje jej kartki, co niektórych rozbawiło, a innych zasmu-

cilo. Wtedy do akcji włączył się Sprawiedliwy w Gomerze. Dzięki meczowi hokejowemu na ekranie, podczas którego aktorzy wydawali jedynie dźwięki nieartykułowane, mgr Janusz Bujacz zdążył połapać się w liście dialogowej i sprawnie przejął tłumaczenie.

Zanurziliśmy więc umysły i serca w miłosnej historii zza oceanu przekonując się, że młodzież na Zachodzie nie składa się wyłącznie z hippisów i poza świadomością społeczną posiada świadomość osobistą (z folderu ambasady amerykańskiej). My ze swej strony dostrzegaliśmy w tej świadomości osobistej dużo pierwiastków społecznych, skoro pierwsze słowa bohaterki do bohatera brzmiały: wygląda pan na bogatego głupca, a dalej, w czułych scenach, mówiła doń: mój snobku. Oba epitety były jednak z gruntu niesłuszne, ponieważ on wyrzekł się dla niej rodziców i fortuny, inaczej niż Waldemar Michorowski, który kochanej Stefeli nie poświęcił niczego.

Ona nie pozostała dłużna i zrezygnowała ze stypendium na studia u Nadii Boulanger w Paryżu. Uczyla dzieci śpiewu w kościele, aby on mógł studiować prawo. I żył sobie skromnie, ale przyzwolcie za to, co ona zarobiła, a on pomnożył, sprzedając przed Bożym Narodzeniem choinki na placu. Szczęście materialnie uśmiechnęło się do nich, kiedy on zrobił dyplom i zamieszkał w Nowym Jorku. Jej miejsce, które sama sobie wybrała, było wówczas przy kuchni, jego w biurze prawniczym. Niestety, nie mieli dzieci, choć bardzo tego pragnęli. Jako ludzie nowoczesni poddali się odpowiednim badaniom. Wtedy wykryto u niej białaczkę i umarła.

Szlachetnej w swej prostocie treści filmu towarzyszy niemniej szlachetna forma. Pod każdym względem uzupełniają się one doskonale, tak, że ograniczymy się tylko do paru przykładów. Treść filmu może z pozoru wydawać się szarostwiecka, a w istocie wskazuje na nowy romantyzm. Podobnie forma przynosi odrodzenie standardowej, intymnej wielkości ekranu, zaś nowoczesność, ta prawdziwa, bo nie techniczna, lecz artystyczna, polega na głębi ostrości, na „rozszerzeniu” ekranu w głąb. Zalety takiego postępowania ujawniają się zwłaszcza w scenie, kiedy bohater przebiega perspektywnie korytarz szkoły muzycznej szukając żony, którą skarcił. Otwiera wiele drzwi, a burza uczuć i wyrzutów sumienia szaleje w jego duszy.

Widzimy więc, że wszystkie kroki bohaterów i wszystkie chwytły formalne mają w tym filmie uzasadnienie. Z pięknym uczuciem łączy się piękno pracy, dlatego bohaterka najpierw uczy się sama, a potem uczy innych muzyki. Reżyserowi pozwalało wprowadzać do akcji różne melodie nie jako ilustracje, co traciłoby niewątpliwym anachronizmem, lecz jako konieczność płynącą z realiów życia.

Koncepcja kolorystyczna filmu zdradza znajomość psychologii barw. Kiedy bohaterka wywodzi się z nizin przybywa z wizytą do rodziców bohatera, nosi suknię krwisto czerwoną. Jest to delikatne przypomnienie o namienności, jaką budzi jej osoba i wskazówka, że wytwornym rodzicom wyda się nieco wulgarna. Natomiast pełna rezerwy matka bohatera ubrana jest w odpychający i zimny kolor niebieski.

Takie przykłady stylowej fachuśki autorskiej i reżyserskiej moglibyśmy wymienić bez końca. Podsumujemy je zdaniem pewnego młodzieńca, który wychodząc z kina powiedział: „Ten film mógłby być zrobiony przez komputer”. Niestety, młodzieńcze ten nie był studentem PWSFTiTV, która hołduje tradycji niekalkulowanej twórczości improwizowanej.

Ja natomiast nie mogę powiedzieć: „Jaka szkoda, że państwo tego nie widzieli”.

ENTUZJASTA

## TELEWIZYJNY

### DZIŚ O SPORCIE

Już dawno nie pisałem w tej rubryce o sporcie. Ktoś mógłby pomyśleć, że się nim nie interesuję, ale to byłaby nieprawda. Jestem od lat wiernym kibicem. A nawiasem mówiąc, telewizja poszerzyła chyba krąg kibiców. Wiele osób, które dawniej przejawiały absolutną obojętność dla sportu, dziś z wyplekami na twarzy śledzi ważne mecze, czy zmagania naszych reprezentantów.

Te uwagi nasuwają mi się w związku z filmem Smarzewskiego o Fortunie (Telewizja Warszawa: „465 kilometrów z Fortuną”; scenariusz i realizacja — Zbigniew Smarzewski; zdjęcia — Andrzej Szczepański; emisja — 25. II. 1972 r.). Dzięki temu programowi odżyły w nas emocje, jakie towarzyszyły nam w okresie Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Sapporo. Każdego popołudnia zbieraliśmy się przed telewizorami z nadzieją w sercu, że coś się zmieni, że szczęście się do nas wreszcie uśmiechnie.

Niewiele brakowało, a nasze nadzieje pozostałyby nie zrealizowane. Sytuację uratował Wojtek Fortuna. Młodzutki, niskiego wzrostu chłopiec z zakopiańskiej dzielnicy Ciągłówka przejechał i przeleciał tysiące kilometrów, by na egzotycznej dla nas wyspie Hokkaido zadziwić cały świat swym rekordowym skokiem. Dzięki telewizji ten skok utrwalił się nam dobrze w pamięci. Oglądaliśmy go co najmniej kilkanaście razy, przy normalnej szybkości przebiegu taśmy i na zdjęciach zwolnionych — zawsze z jednako- wym zachwytem.

Dlaczego byliśmy tak wzruszeni? Zakopiański chłopiec budził w nas wszystkich uczucia szczerzej sympatii. Cieszyliśmy się z nim razem, gdy z radością sam sobie bił brawo, kończąc zwycięski skok. Ale satysfakcja nasza polegała na czymś więcej. Zacytuje tu słowa wybitnego holenderskiego historyka kultury Johana Huizingi: „Wygrzywa się uznanie, zyskuje się zaszczyt, a zaszczyt ten i uznanie zawsze i w sposób bezpośredni przynoszą korzyść całej grupie, do której wygrzywanemu należy”. („Homo ludens”).

Słowa Huizingi jak ulał pasują do naszych rozważań. Ależ taki Fortuna wygrał na skoczni w Sapporo w imieniu nas wszystkich, Polaków. Częstka tego zaszczytu spływa na każdego z nas. A telewizja pozwoliła nam uczestniczyć w tym święcie, być obecnym przy wielkim zwycięstwie jednego z nas. Naszej radości i dumy nie był w stanie zamącić nawet (wyjątkowo tym razem bełkotliwy) komentarz Bohdana Tomaszewskiego. Wyobrażam sobie, że gdyby Fortuna zwyciężył w czasach: gdy nie było jeszcze telewizji, społeczna odczuwalność jego sukcesu byłaby wydatnie mniejsza. A tak, gdy na lotnisku na Okęciu wykołował oczekiwany przez tłumy samolot, gdy otworzyły się drzwi wyjściowe, wszyscy oczekiwali ukazania się tej właśnie znanej już dzięki telewizji sylwetki.

Pomysł Smarzewskiego, by odbyć z Fortuną drogę do Zakopanego i przedłużyć jakby pasmo sukcesu na oczach całej telewizyjnej widowni, był przedniego gatunku. Wciąż jeszcze nie oswoiliśmy się z myślą o złotym medalu, wciąż chcemy do tej sprawy wracać. Widząc powitanie Fortunę na starym krakowskim Rynku, a potem w rodzinnej Ciągłówce, oglądając jego triumfalny przejazd Krupówkami zakopiańskim fiakrem w asyście góralskiej banderki, przeżywaliśmy smak zwycięstwa od nowa.

A smak zwycięstwa ma to do siebie, że nigdy go się nie ma dość. Jak wzruszające były słowa starego mistrza Staszka Marusza (dziś zwanego przez młodych zawodników Dziadkiem), który wspominał swoje trzydziestoletnie boje, pełne sukcesów, a nigdy przecież nie zakończone tak wspaniałym finałem: zdobyciem złotego medalu olimpijskiego!

Wzruszenie udzieliło się i samemu Wojtkowi, choć w jego wieku nie tak łatwo człowiek się wzrusza. Wspomnił cesarza Hirohito przyjmującego na audiencji japońskich złotych medalistów i powiedział, że niemniej sobie cenil to powitanie, jakiego mu zgotowało Zakopane, powitanie, w którym — jeszcze raz powtórzmy — dzięki przekazowi telewizyjnemu uczestniczyła cała Polska!

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

## Listy DO REDAKCJI

SZANOWNY

PANIE REDAKTORZE!

W numerze 9 „Odgłosów” (27. II. 1972 r.) przeczytałam wypowiedź red. Tadeusza Mrozow-

skiego z WL w sprawie albumu „Ulica Piotrkowska”.

Z przykrością muszę stwierdzić, że współpraca z Panem Wacławem Kondką w albumie pt. „Ulica Piotrkowska” w pewnym sensie nie udało mi się na skutek nieprecyzyjnego określenia mojej roli w owym albumie. Wydawnictwo Łódzkie na karcie tytułowej albumu stwierdza, że: doc. dr Anna Rynkowska opracowała „Noty historyczne”. Nikt jednak nie rozumie, o co tu chodzi. Mniej uważni czytelnicy przypisują mi opracowanie przedmowy, choć wiadomo z karty tytułowej, że napisał ją red. Tadeusz Chrościelewski.

Otóż stwierdzam, że w albumie napisałam objaśnienia hi-

storyczno - architektoniczne do każdego z rysunków p. Wacława Kondka. Objasnienia te mieszczą się po lewej stronie gdziekolwiek otwartego albumu, po prawej zaś stronie jest rysunek p. Wacława Kondka.

W recenzji albumu (sprzed około roku) p. red. Grun przypisał moje objaśnienia rysunków p. W. Kondkowi, pisząc — cytując z pamięci — że „Wacław Kondek interesująco snuje opowieść o każdym domu na Piotrkowskiej”. Ciekawe, że redakcja Wydawnictwa Łódzkiego nie zgłosiła wówczas sprostowania tej krzywdzącej moją wysiłk autorski opinii p. red. Gruna.

Z poważaniem

Anna Rynkowska

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



JERZY SZAJNOWICZ-IWANOW, urodzony w 1911 roku w Warszawie, syn Polki i Rosjanina, wychowany przez matkę w Grecji, z wykształcenia inżynier-agrotechnik, świetny

sportowiec-waterpolista, w 1939 roku z trudem uzyskał obywatelstwo polskie. Wrzesień 1939 roku zastał go w Salonikach, mimo starań nie uzyskał przydziału do formującej się na Bl-

skim Wschodzie Brygady Karpackiej, w 1941 roku związał się z wywiadem brytyjskim i jako agent nr 1 na Grecję działał tam do stycznia 1943 roku, kiedy to, złapany najprawdopodobniej na skutek zdrady, został rozstrzelany. Jego niezwykle skuteczna działalność wywiadowcza i dywersyjna sprawiła, że był w czasie okupacji i jest po dziś symbolem walki o wolność Grecji. W wielkiej encyklopedii greckiej znajduje się o nim zaszczytna wzmianka, jego imieniem nazwano jedną z ulic w Salonikach, tamże znajduje się jego pomnik. W Polsce postać Jerzego Szajnowicza-Iwanowa spopularyzowała książka Stanisława Strumpha-Wojtkiewicza „Agent nr 1”, obecnie wszedł na ekrany film w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego. Tyle fakty. A ich obraz we wspomnianym filmie?

W historii powojennego światowego kina ogromna jest lista filmów, których tematem są sensacyjne wątki wydarzeń II wojny, bądź dzieje asów wywiadów poszczególnych krajów. Znamienne cechy tych filmów jest najczęściej przyjęcie formy filmu sensacyjno-przygodowego, publiczność to lubi, a realizatorzy niezwykle rzadko podejmują próby głębszej analizy historycznego tła, czy psychologicznych uwikłań bo-

haterów tych sensacyjnych zdarzeń. W moim osobistym odczuciu film Kuźmińskiego „AGENT NR 1” obdarzony został grzechem podwójnym, którego rezultatem jest pewna nijażność zamierzenia. Powstał bowiem film, który cierpi na niedowład sensacyjno-przygodowej formuły, a także trudno w nim odnaleźć próbę głębszego rysunku niezwykle przecież interesującej postaci Jerzego Iwanowa.

Intencje autorów służy zapewne w kierunku wiernej rejestracji zdarzeń. Może świadomie unikali konwencji opowieści sensacyjnej, ale wówczas należało więcej uwagi poświęcić pogłębieniu osobowości bohatera. Poprzestano na prezentacji urody (Karol Strasburger) i jego sprawności fizycznej. A to chyba za mało.

Nie znając Grecji odnieść jednak można wrażenie, że udało się realizatorom (zasługi operatora Wiesława Rutowicza są tu niewątpliwie) otworzyć klimat pejzażu i miast greckich, mimo, iż poza kilku ujęciami Aten i Akropolu resztę zdjęć kręcono poza Grecją. Wykorzystano tu z powodzeniem pełne- ry Bułgarii. Aktorzy bułgarscy zagraли rodowitych Greków w sposób, któremu nie podobałoby zapewne ich polscy koledzy, do- szła tu do głosu pewna typowość Bałkańczyków. Sądzę, że

„Agent nr 1” może liczyć na powodzenie. Zapewnia je w jakimś stopniu frapujący i autentyczny, a do tego polski bohater i sensacyjny temat. Ładne zdjęcia, efekty prototechniczne dużej klasy. Szkoda tylko, że nie powstał po prostu dobry film.

\*\*\*

Relacjonując w ubiegłym roku przebieg Konfrontacji-70 uznałam rumuński film „REKONSTRUKCJA” w reżyserii Luciana Pintille za najwybitniejszą pozycję przeglądu. Obecnie film ten wszedł na ekrany. Jest to film wybitny, tak w swojej idei, jak w sensie dokonania artystycznych, jest to film trudny, wymagający absolutnego skupienia. Posłużmy się słowami reżysera, najtrafniej określającymi jego zamierzenia: „Rekonstrukcja, innymi słowami odzwierciedlenie banalnego w gruncie rzeczy wydarzenia, sama staje się dokonaniem faktu — tragicznym wydarzeniem. Cały przebieg tego wydarzenia, a także jego przesłanki są dla mnie obojętne, sprawą przynębiającą, głupia, absurda, głupota, obojętność, biurokracja — oto stopnie progresji tego procesu znajdującego końcowe rozwiązanie w tragedii”.

Próba rekonstrukcji niegroźnej bójkii chuligańskiej, po to,

by dla celów wychowawczych nakręcić film, kończy się tragicznie, choć nikt z tych, co wychowawczo działają, tego nie zauważa: oto cała historia opowiedziana w filmie Pintillego. Stopniowanie zarówno sensu jak i nastroju tej opowieści, rozegranej jak spektakl teatralny w dwu częściach, co znakomicie współgra z rzeczywistością spoza spektaklu rozgrywanego na naszych oczach, jest w tym filmie majstersztykiem reżyserskim. Spokojny, dokumentalny opis rzeczywistości, wypelniany gestami elementami komizmu, przepięknie i stopniowo zagęszcza elementami rzeczywistości inscenizowanej, prowadzącej do tragicznego finału. Nieprzemysłowa ingerencja człowieka w rzeczywistość, nawet jeśli działa z pozoru w najlepszych intencjach, gwałci jej prawa, gdy jej naprawdę nie zna. „Rekonstrukcja” jest filmem podwójnych znaczeń — jest opowieścią o odpowiedzialności wobec podejmowanych działań i o potrzebie demistyfikacji wytartych społecznych sloganów, jest również ważki głosem artysty-filmowca o potrzebie progresji tego równowagi między rzeczywistością a jej wyobrażeniem w sztuce”.

EWA NURCZYŃSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## WIELKIE DZIEŁO DUBUFFETA

Périgny, mała miejscowość, oddalona od Paryża o godzinę jazdy samochodem, znana jest z uprawy kwiatów i winorośli. Totu francuski malarz Jean Dubuffet przed dwoma laty zbudował sobie pracownię o wymiarach średniej wielkości fabryki.

Urodzony w Hawrze w roku 1901, był handlarz winem, Jean Dubuffet uchodził dziś za jednego z najwybitniejszych i najbardziej oryginalnych malarzy francuskich okresu powojennego. Początkowo eks-presjonista, z biegiem lat i wzbogacania doświadczeń artystycznych, stworzył swój styl malarstwa na wskroś oryginalnego, uprawianego w mocnych kolorach o silnie przetworzonej figuratywności. Nie bez racji mówi się, że w jego twórczości przedmioty codziennego użytku niecodziennie wiodą żywot, meble wyglądają jak drzewa podczas gdy drzewa przypominają ludzkie postacie. Jego sztuka — brylowate, ciężkie wizje przedmiotów i ludzi — przypomina sztukę surowego prymitywu, jest w niej coś z karykatury i coś chyba ze świata psychopatycznych majaczeń.

W budynku wzniesionym w Périgny rozciąga się „Watts Towers” architektoniczny malowniczy widok

na winnice. Dom zaś otacza wspaniały park. Budynek mieści dwie pracownie oraz wygodne pokoje mieszkalne i gościnne. W mniejszej pracowni pod ręką samego malarza powstają modele rzeźb, które potem przez dziesiątę pomocników mistrza, powiększane są do olbrzymich rozmiarów i malowane. Jako surowiec do odlewu tych rzeźb służy polistyren.

Tuż obok domu — obszerny budynek. To, jak go nazwał Dubuffet, ogród zimowy. Dubuffet montował tu swe wielkie figury we wnętrzu o jajojowej formie, o pochylonych ścianach i podłodze nierównej, na różnych poziomach. Ściany są malowane w swobodnym stylu obrazów Dubuffeta. Ale zimowy ogród to dopiero pierwsza faza wielkiego artystycznego zamysłu francuskiego malarza. Chce on stworzyć park, gdzie wśród zieleni drzew i krzewów, na tle nieba wznosić się będą olbrzymie polistyrenowe rzeźby. Park ma być udośćpiony dla publiczności. Będzie on realizacją artystycznych marzeń Dubuffeta, urzeczywistnieniem fantastycznego świata wyobrażeń artysty. Pomysł przypomina pomnikowe dzieło włoskiego manierysty — park w Bomarzo lub toniczny świat marzeń S-

mona Rodiasa w Kalifornii. Ale w odróżnieniu od tamtych ekstrawagancji, złych gustów włoskiego dekadenta księcia oraz naiwnego rzeźbiarza — park Dubuffeta ma być wcieleniem jego głęboko filozoficznej idei przeciwstawiania się kanonom klasycznego, tradycyjnego pojęcia o pięknie, ma być widomym znakiem idei artystycznych Dubuffeta, które wyłożył w niedawno opublikowanych dwóch tomach wydanych w Paryżu u Gallimarda. Pisma te zawierają krytyczne eseje oraz zbiór prywatnej korespondencji Dubuffeta.

Dubuffet napisał: „Przekonanie, że istnieją piękne i brzydkie przedmioty, piękni i niepiękni ludzie, z całą pewnością nie ma żadnej podstawy poza umownością. To stara bzdura, ja zaś każda konwencję uważam za niezdrówę. Piękno jakiegokolwiek przedmiotu zależy od tego jak go widzimy, a bynajmniej nie od jego poprawnych proporcji”. Tak więc Dubuffet, który zaciekle walczył z tradycyjnym i umownym pojęciem piękna w sztuce, nie widzi żadnej różnicy między tym co utarło się nazywać brzydkim czy pięknym.

W tej chwili artysta zajęty jest i chyba jeszcze parę lat będzie zajęty wypełnianiem swego olbrzymiego dzieła, pracując w domu wokół którego, jak wierni stróż, stoją gigantyczne dzieła plastyki z ceramiki i betonu.

## JAK SIĘ PISZE POPULARNĄ POWIEŚĆ HISTORYCZNĄ?

Od kilkunastu lat we Francji pojawia się szereg powieści historycznych bijących rekordy popularności i niemal natychmiast tłumaczonych na wiele języków. W większości przypadków są to dzieła wzorowane na wielkich powieściach pisanych w zeszłym stuleciu. Obecnie wychodzące spod pióra tego rodzaju romanse historyczne adresowane są przede wszystkim do mniej zorientowanego we współczesnej literaturze czytelnika.

rozątek, jak się zdaje, tych cykli powieściowych, zrobiła napisana około 1948 roku książka Jacquesa Laurenta pt. „Droga Karolina”. Została ona sprzedana w ilości ponad 6 milionów egzemplarzy w samej Francji. Jest stale tłumaczona na obce języki i wznawiana.

Jaka jest recepta na tego rodzaju cieszące się powodzeniem popularne powieści historyczne? Zasady te ujął Jean-Pierre Morgul w swym felietonie w dodatku literackim dziennika „Le Figaro”. A więc w powieściach takich: 1. Bohaterka musi być młoda, piękna, zuchwała i wzruszająca. 2. Bohaterka musi żywić do bohatera powieści wielką miłość i musi być mu wierna pomimo czyhających na nią najprzeróżniejszych pokus. 3. Powieść musi być pisana stylem prostym i jasnym, aby mogła być łatwo tłumaczona na obce języki. 4. Akcja musi się rozgrywać w ważnej i opromienionej chwale epoki historycznej. 5. Realla epoki muszą być dokładne i zgodne z prawdą historyczną. 6. Wszystkie postacie winny być słynne i znane w historii prócz głównych bohaterów i ich najbliższego otoczenia. 7. Intryga powieści musi być tak przeprowadzona by była zgodna z mechanizmem i okolicznościami wypadków historycznych.

## NOWA KSIĄŻKA NATHALIE SARRAUTE

Przypomnijmy Króciutko, że Nathalie Sarraute, pisarka francuska, której dzieła należą do tzw. „nowej powieści”, urodziła się w roku 1902. Z pochodzenia jest Rosjanką, z zawodu adwokatem, od wczesnego dzieciństwa przebywała we Francji. Debiutowała w roku 1938 książką „Tropizmy”. Główną cechą jej twórczości jest mikropsychologia, doszukiwanie się w najprostszyc czynnościach ludzkich głębszych podkładów psychologicznych. Ostatnio wyszła w Paryżu nowa powieść Sarraute pt. „Vous les entendez?” (Czy słyszyście je?). Tematem książki jest niemożność porozumienia się ojca ze swymi dorastającymi dziećmi. Autorka wnikliwie omawia wiele aspektów tego zagadnienia, starając się dotrzeć do jego istoty.

## WYZNANIA MELINY MERCOURI

„Je suis née Grecque” (Urodziłam się Greczynką) — taki tytuł ma ostatnio wydana książka autobiograficzna, śpiewaczki Meliny Mercouri. Wiele miejsca we wspomnieniach śpiewaczka poświęca swemu dziadkowi, byłemu burmistrzowi Aten, seniorowi rodu, szczeremu patriocie, który wywarł przemożny wpływ na kształtowanie się charakteru i poglądów Meliny. Jej 300-stronicowa książka przepojona jest

głębką miłością do swego kraju, do wolności, do krajobrazu Grecji i jej ludzi, będąc równocześnie oskarżeniem i protestem przeciw obecnemu reżimowi pułkowników. Pamiętniki Mercouri odwołują się do losów greckich patriotów, między innymi członków najbliższej jej rodziny. Mercouri zaprzyjaźniona z emigrantami politycznymi z Grecji przyjaźniła się m. in. z Theodorakisem, który pisze melodie do jej pieśni. Śpiew Mercouri — to także forma jej zaciełej walki z reżimem faszystowskim w Grecji.



MELINA  
MERCOURI

## W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- Rozstrzygnięcie plebiscytu „Łodzianie 1971”
  - BOGDAN GRZELOŃSKI — Prezydentura na dwustulecie
  - JERZY WILMAŃSKI — Kopernik i piwo
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.



Rzeźba Dubuffeta w parku w Périgny

## WYDAWCA NIEDZIELI POEZJA KRAJOBRAZU NIEDZIELI

OPISANIE KONKRETU — CERKIEWKA I KOŚCIÓŁ  
— BIALYSTOK, OLSZTYN I ŁÓDŹ — URODA POŁ  
— MINI-ANTOLOGIA, WYDZIAŁU KULTURY —  
— KAMYCZKI DO POETYCKIEJ MOZAIKI

Poezja krajobrazowa to już dzisiaj rzadkość. Termin to może nieprecyzyjny, rozumiem przez poezję krajobrazową nie falujące zboże i szczyty gór... Chodzi mi o poetyckie opisanie konkretnego krajobrazowego, przykładem choćby „Hipokrene warmińska” Tadeusza Chrościelewskiego, z tym, że erudycja i historyczne pasje poety wzbogaciły ten tom (wydany przez „Pojezierze” w 1969 roku) o dodatkowe walory.

„Hipokrene warmińska” jest w naszej współczesnej literaturze jednym z piękniejszych przykładów poezji krajobrazowej. Sam tytuł tomu nie mówi

zresztą wszystkiego o tych wierszach. Przecież znalazło się w nich poetyckie opisanie nie tylko malowideł z Brąswaldu, olsztyńskich fresków i rzeźb olsztyńskiego starego rynku... W tym zbiorze, zachowując krajobrazowy charakter wierszy, pomieścił Chrościelewski także motywy z innej strony Polski — „Freski opolskie”, „Górskie terminy”, wreszcie „Wersal białostocki”. Tak się złożyło, że do tematu Białostocznego sięgnął i inny poeta ze śródka Polski.

Niedawno Wydawnictwo Lubelskie opublikowało zbiór wierszy Tadeusza Gicglera pt. „Ziemia białostocka”. Łodzianin z urodzenia i sentymentu,

mieszkający obecnie w Białymstoku, wydał w Lublinie książkę o Białostocczyźnie. Ale rzecz nie w owym „rozstrzeleniu” geograficzno-literackim. Oto mamy nowy tom wierszy — piękny tom — mieszczący w sobie ową poezję krajobrazowego konkretnego.

Tadeusz Gicglerek był zawsze poetą lirycznego zachwycenia krajobrazem. Lata całe zamykał w wiersze posępny pejzaż rodzinnego miasta — Łodzi. Ale oto, gdy los go rzucił w otwarty pejzaż, gdzie „kościół i cerkiew, rodzeństwo zróżnione z tym krajobrazem, mogła w polu, gdzie wierni obydwu wyznań śpią razem...” Wówczas otwartą się u poety nowe obszary wrażeń, nowe pokłady wrażliwości.

Cykl wierszy białostockich Gicglera wnosł do współczesnej poezji ton wzruszający. Te wiersze są kontynuacją bardzo starego i dobrze osadzonego w tradycji polskiej literatury motywu lirycznego opisanie krajobrazu. Inna to już sprawa, że coraz rzadziej dziś sięgają poeci do tych motywów, że przedkładają filozoficzne rozważania o sensie bytu nad wzruszenie, „proste i ufne jak sosna, kolczaste jak jałowiec”.

Tadeusz Gicglerek — poeta miejskiego pejzażu — nie zaprzeczył swemu miastu, kiedy wszedł w inne pola i inne maceczniki. Pozostał nadal poetą wrażeń i liryzmu, poetą czystego rytmu i muzycznej frazy.

Podobnie zresztą jak w wypadku „Hipokrene” Chrościelewskiego i tytuł tomu Gicglera nie mówi o wszystkim o pomieszczeniach tam wierszach.

„Z kamienie czarnych, odrapanych na pierśi moje wpełznął liszaj, że choćbym chciał się wyprzedzić ciębie, już mi się to nie uda dzisiaj”.

Oczywiście — to strofy dla Łodzi. Nie wyparł się jej poeta i w jego nowym zbiorze znajdziemy i te „Wiersze łódzkie”.

Nieprzypadkowo zresztą przywołałem tu przykład krajobrazowej poezji Tadeusza Chrościelewskiego. „Tryptyk łódzki” o śródmięściu, ulicy Srebrzyńskiej i domu na nowym osiedlu dedykuje Gicglerek właśnie Chrościelewskiemu. Poezje, z którym wiąże go podobna czułość dla krajobrazu, urody pól i kamienie. I choć dziś Tadeusz Gicglerek opiewa inne pejzaże, wciąż „przyplwya i odpływa przed jego wzrokiem

obraz tkalni”, wciąż notuje trudną urodę miasta.

Tak się ostatnio złożyło, że poezja krajobrazowa stała się tematem pewnej miniantologii, wydanej staraniem przez Wydział Kultury WRN w Łodzi. Otóż przy okazji katalogu wystawy portretu postanowiono zaprezentować garść wierszy tematycznie związanych z Łodzią i Ziemią Łódzka. Piękny to pomysł, choć druk pozostał tylko ciekawostką bibliofilską, nigdzie szerzej nie kolportowaną. Nawiasem mówiąc nawet autorem zamieszczonych tam wierszy nie przesłano choćby po jednym egzemplarzu katalogu. Jest w tym zbioru garść wierszy interesujących, m. in. Bernarda Sztajnerta i Jana Koprowskiego, J. H. Wiśniewskiego i Konrada Frejdlacha — wierszy o tej ziemi i tym mieście, wzruszających i prostych.

Poezja krajobrazowa to dzisiaj rzadkość — napisalem na wstępie. Ten felieton jest jednak zaprzeczeniem takiego sądu. Oto są poeci podejmujący motyw lekceważony, a tak przecież istotny. Bowiem istotny jest każdy kamysek w wielorakiej mozaice współczesnej poezji.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

CHMURA

„HA, CZEMUŻ TO,  
A NIE CO INNEGO?”  
(BEAUMARCHAIS)

Mógtbym napisać rzecz o starych ludziach, o ludziach w średnim wieku, o ludziach młodych. O takiej, czy innej klasie, czy grupie społecznej, o ważnym problemie — być może przypięto by mi wtedy order i podwyższono stawkę... Cóż jednak jest naprawdę ważniejsze — pałający problem pewnej klasy społecznej, czy też bezproblemowość starej szafy w moim mieszkaniu? Czy jeżeli ktoś samotnie umiera (a umierać można latami) i ostatnią rzeczą, którą widzi gasnącym wzrokiem, jest stara szafa, to czy wtedy właśnie ta szafa, jej barwa, lustra, jej niesamowite, urągające prawom fizyki skrzywienie, nie jest właśnie dla umierającego najważniejsze? Albo kaktus w doniczce — Jan zajęty jest w fabryce, w burze, ale myślami jest przy kaktusie. Wleczerem wraca sobie do domu, podiewa kaktus, muska palcami jego igielki i oto pewnego dnia kaktus Jana zakwita białoczerwymi kwiatami i Jan jest szczęśliwy, nie pracuje, nie spaceruje, nie jadłem, nie nowym ubraniem — Jan jest szczęśliwy kwitnącym kaktusem. A czemu nie pisać o rzeczach przedmiotowo nie istniejących, na przykład o diable. Kiedyś, przed laty napisałem o diable, napisałem żarliwie i tkliwie — otóż ogłoszono, że jestem satanistą, przestrzegano przede mną ludzi, zwolniono mnie z pracy, nie przyznano stypendium. Byłem tedy męczennikiem sprawy nieistniejącej, kto wie, czy to właśnie nie jest najwyższe, czyste męczeństwo, męczeństwo za nic... Czas już powiedzieć słowo o centaurach, ze wszystkich stron napływają dotyczące centaurów pytania. Iksion, król Lapidów zapragnął bogini Hery, żony najwyższego z bogów — Zeusa. Zeus oszukał Iksiona ukazując mu chmurę o kształtach Hery, z tą chmurą spłodził oszukany Iksion centaurów, półludzi, półkoni. Doszło do wojny między centaurami a Lapidami i Lapidowie wymordowali centaurów, tych oczywiście, których uprzednio nie ubił Herakles. Tak oto Iksion pragnął nieskończoności, a osiągnął potwory i śmierć. Oczywiście nie było Iksiona, nie było Hery, nie było Zeusa, nie było centaurów, Lapidów ani Heraklesa. Długo jeszcze można wymieniać tych, których nie było — można by ich wymieniać w nieskończoność, gdyby nie to, że nieskończoności też nie było. Cóż jednak naprawdę i rzeczywiście było? Otóż naprawdę i rzeczywiście była tylko chmura.

BERNARD SZTAJNERT

# Przyjaciele

Jedno jest pewne, myślał Walter spoglądając na drzwi sąsiedniego pokoju: przed końcem miesiąca firma „Korespondencyjne zakupy” znów zmieni sekretarza... lecz tym razem będzie to osoba zupełnie inna, niż Nicolas.

Walter nalał sobie szkockiej z butelki i zamysłił się. Dwa-dziesiąt miesięcy temu Marion wybrała Nicolasa na sekretarza firmy. Walter nie mógł się jej sprzeciwić, gdyż przebaczyła mu ostatni flirt pod warunkiem, że odciągnie wszystkie sekretarze z firmy. Walter był przygotowany na najgorsze i zdziwił się bardzo zobaczywszy uśmiechniętego młodzieńca, który wszedł tanecznym krokiem do biura.

— Nazywam się Nicolas Hunt — przedstawił się. — Może mnie pan nazywać Nick.  
Walter, który poczuł natychmiast antypatię do nowego sekretarza, próbował go zniechęcić. — Tu się pan zamorduje pracując.  
— Jestem na to przygotowany — odpowiedział Hunt poprawiając okulary na nosie.  
— Często będzie pan musiał pracować do późnej godziny. Zna trochę narzekają.  
— Moja żona rozumie dobrze, iż praca jest najważniejsza.  
— Pod koniec miesiąca, gdy mamy wiele rzeczy do wysłania, będzie pan musiał sam nosić na pocztę kilka ciężkich worków. Zakurzy się pan od stóp do głów.  
— Mam samochód, więc problem rozwiązany.  
Nie było żadnej racji, żeby nie przyjąć Nicolasa. Miał wszystkie zalety, był chętny i zapałony do pracy.

— Tu jest pański gabinet — rzekł Walter prowadząc nowego sekretarza do przyległego pokoju.  
— Wspaniały, wspaniały! — zachwycił się Nicolas. — Podobają mi się tu bardzo. Jak bym pracował dla przyjaciela!

Walter lrytował się, gdy sekretarz nazywał go przyjacielem. — Jako przyjaciel radzę panu... — zaczynał rozmowę Nicolas. — Albo: — Po przyjacielu przestraszam pana...

— Musisz się z nią rozwieść! — namawiała Lynn.  
— Rozwiódł się! A następnego dnia zaczął polowanie na młodą osobę! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.  
— Oszukał mnie. Obiecał, że gdy go poślubię zostanę wkrótce bogatą kobietą. I jest tylko sekretarzem!  
— Nick jest bardzo dzielny — stwierdził lojalnie. — Niedługo otrzyma dużą podwyżkę. Powinno przy nim zostać, jesteś mu potrzebna.  
— Nie zgadzam się z tobą. Pomówię z Marion.  
— Lynn, nie czyj tego! Może sam znajdzie jakieś wyjście.  
— Jestem pewna, że znajdziesz, mój skarbie — odpowiedziała.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.  
— Oszukał mnie. Obiecał, że gdy go poślubię zostanę wkrótce bogatą kobietą. I jest tylko sekretarzem!  
— Nick jest bardzo dzielny — stwierdził lojalnie. — Niedługo otrzyma dużą podwyżkę. Powinno przy nim zostać, jesteś mu potrzebna.  
— Nie zgadzam się z tobą. Pomówię z Marion.  
— Lynn, nie czyj tego! Może sam znajdzie jakieś wyjście.  
— Jestem pewna, że znajdziesz, mój skarbie — odpowiedziała.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.  
— Oszukał mnie. Obiecał, że gdy go poślubię zostanę wkrótce bogatą kobietą. I jest tylko sekretarzem!  
— Nick jest bardzo dzielny — stwierdził lojalnie. — Niedługo otrzyma dużą podwyżkę. Powinno przy nim zostać, jesteś mu potrzebna.  
— Nie zgadzam się z tobą. Pomówię z Marion.  
— Lynn, nie czyj tego! Może sam znajdzie jakieś wyjście.  
— Jestem pewna, że znajdziesz, mój skarbie — odpowiedziała.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.  
— Oszukał mnie. Obiecał, że gdy go poślubię zostanę wkrótce bogatą kobietą. I jest tylko sekretarzem!  
— Nick jest bardzo dzielny — stwierdził lojalnie. — Niedługo otrzyma dużą podwyżkę. Powinno przy nim zostać, jesteś mu potrzebna.  
— Nie zgadzam się z tobą. Pomówię z Marion.  
— Lynn, nie czyj tego! Może sam znajdzie jakieś wyjście.  
— Jestem pewna, że znajdziesz, mój skarbie — odpowiedziała.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.  
— Oszukał mnie. Obiecał, że gdy go poślubię zostanę wkrótce bogatą kobietą. I jest tylko sekretarzem!  
— Nick jest bardzo dzielny — stwierdził lojalnie. — Niedługo otrzyma dużą podwyżkę. Powinno przy nim zostać, jesteś mu potrzebna.  
— Nie zgadzam się z tobą. Pomówię z Marion.  
— Lynn, nie czyj tego! Może sam znajdzie jakieś wyjście.  
— Jestem pewna, że znajdziesz, mój skarbie — odpowiedziała.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.  
— Oszukał mnie. Obiecał, że gdy go poślubię zostanę wkrótce bogatą kobietą. I jest tylko sekretarzem!  
— Nick jest bardzo dzielny — stwierdził lojalnie. — Niedługo otrzyma dużą podwyżkę. Powinno przy nim zostać, jesteś mu potrzebna.  
— Nie zgadzam się z tobą. Pomówię z Marion.  
— Lynn, nie czyj tego! Może sam znajdzie jakieś wyjście.  
— Jestem pewna, że znajdziesz, mój skarbie — odpowiedziała.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.  
— Oszukał mnie. Obiecał, że gdy go poślubię zostanę wkrótce bogatą kobietą. I jest tylko sekretarzem!  
— Nick jest bardzo dzielny — stwierdził lojalnie. — Niedługo otrzyma dużą podwyżkę. Powinno przy nim zostać, jesteś mu potrzebna.  
— Nie zgadzam się z tobą. Pomówię z Marion.  
— Lynn, nie czyj tego! Może sam znajdzie jakieś wyjście.  
— Jestem pewna, że znajdziesz, mój skarbie — odpowiedziała.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.  
— Oszukał mnie. Obiecał, że gdy go poślubię zostanę wkrótce bogatą kobietą. I jest tylko sekretarzem!  
— Nick jest bardzo dzielny — stwierdził lojalnie. — Niedługo otrzyma dużą podwyżkę. Powinno przy nim zostać, jesteś mu potrzebna.  
— Nie zgadzam się z tobą. Pomówię z Marion.  
— Lynn, nie czyj tego! Może sam znajdzie jakieś wyjście.  
— Jestem pewna, że znajdziesz, mój skarbie — odpowiedziała.

na nie doceniać. Nie rozumie, ile dla niej zrobił.

Walter przytaknął. Duma nie pozwoliła mu przyznać, że firma handlowa należała do Marion i jej dziedzinnego wujka, który zabezpieczył prawnie, żeby majątek pozostał w rodzinie.

— Musisz się z nią rozwieść! — namawiała Lynn.

— Rozwiódł się! A następnego dnia zaczął polowanie na młodą osobę! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

— Nie myśl nawet o tym! — krzyknął Walter. — Chcesz wyrazić krzywdę Nickowi? Przecież go kochałaś, jeżeli go poślubiłaś.

Kobieta, o której mówimy, jest osobą niemoralną i niegodną zaufania. Pewnego dnia zemści się. Powinna umrzeć, tak będzie dla wszystkich najlepiej. Tak chyba też myśli pański przyjaciel.

Walter musiał przyznać, że pragnął śmierci Lynn.

— Jeszcze jedno, Nicolas. Otóż... mój przyjaciel nie znoś widoku krwi. Nie chce też zostawić dowodów oskarżających.

— To się załatwi. Jeżeli przyjaciel pracuje w przedsiębiorstwie, jak nasze, może zaprosić tę kobietę do zamknięcia biura. Nikt jej nie zauważy. Mógłby poczęstować ją trunkiem zawierającym proszek nasenny. W przedsiębiorstwie są worki pocztowe. Niektóre dość duże, aby ukryć w nich śpiącą kobietę i wynieść na zewnątrz. Tymczasem zrobił się ciemno, przyjaciel może pojechać autem do mostu, najlepiej South Bridge, gdzie jest zupełnie pusto. Tam otworzy worek i wrzuci kobietę do wody. Nastąpi śmierć przez zatonięcie.

— A więc bez gwałtu, bez hałasu, bez krwci. Czy pan będzie mógł dostarczyć proszków nasennych?

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

— Naturalnie, że mogę — zapewnił sekretarz.

Walter wziął kalendarz. — Najlepiej dwudziestego ósmego. Tego dnia jest wiele rzeczy do ekspedowania. Czy może pan zająć się ekspedycją tego wieczora? Otrzyma pan specjalną premię.

— Dziękuję, panie Trent. Zająmę się ekspedycją dla pana.

\* \* \*

Po południu umówionego dnia Walter zauważył flakonik z proszkami na biurku.

— Rozpuszczają się momentalnie, skutek po dwudziestu minutach — objaśnił sekretarz.

— Nicolas, o godzinie 18 pójść na posiedzenie. Pan pójdzie na kolację do baru o 17. Po powrocie proszę zająć się ekspedycją. Zostawię moją pocztę w worku przy windzie. Jasne? Gdy już wszystko będzie załatwione chciałbym się z panem zobaczyć. Przyjdę tutaj...

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.

Walter zatelefonował do domu, aby zawiadomić, że będzie pracował do późna. Dowiedział się od pokojówki, że Marion położyła się do łóżka z ciężką migreną i zwolniła dzweczącą na cały wieczór. Potem zadzwonił do Lynn, żeby go odwiedziła w biurze.



Fot. W. Parys

Spacerował nerwowo od ściany do ściany. Słyszał jak odchodząc do domu urzędnicy żegnali się z sekretarzem. Po tem Nicolas wyszedł na kolację. Za kilka minut pokazała się Lynn.

— Skończyły się nasze troski, kochanie — przywitał ją, gdy weszła do biura. — Marion zgadza się na rozwód.

— Walter! Wiedziałam, że znajdziesz rozwiązanie! — Lynn rzuciła się mu na szyję.

— Musimy wnieść toast za nasze szczęście — zaproponował. — Przygotuj cocktail.

Podał jej kieliszek z pigułką. — Do dna! A teraz usiądź na kanapie, bo ja muszę wykończyć jeszcze pewną robotę.

— Jesteś cudowny! — szepotała Lynn. — Pozwól, że się trochę zdrzemnę.

Gdy tylko usłyszał jej chrapanie, wsunął ją do worka pocztowego, związał, wytarł kieliszki i poszedł na kolację do klubu...

Później w biurze oczekiwał sekretarza. Był spokojny. Nick nie mógł go wydać, gdyż sam by się skompromitował. To będzie ostatnia z nim rozmowa. Jutro zaangażuje nowego sekretarza.

Wkrótce wszedł Nick. — Mój drogi, — rzekł zimno Walter, — chcę cię uprzedzić, że powiedziałem w klubie, iż wyszedłeś z biura razem z Lynn.

— Spodziewałem się tego. Myślałem, że nie powinniśmy osądzać jej zbyt źle. Była i moja w tym wina.

— To niemożliwa kobieta, chciała mnie zrujnować. — Chciała wywołać skandal. Godziła się nawet ustąpić przedsiębiorstwo panu, panie Trent. Żądała, żebym się rozwodził z Lynn.

— Nick, o kim pan mówi? — Przecież pan dobrze wie. Zaraz zrozumiałem, że ten przyjaciel, o którym pan opowiadał, to ja. Wynajęła mnie, abym pana pilnował. Przychodziła tu, gdy pracowałem wieczorami. Starałem się ją uspokoić — no i tak doszło do romansu.

— Nicolas! — Pot zalewał twarz Waltera. — Czy mam rozumieć, że zabiłeś dziś wieczorem Marion?

— Przecież pan o tym mówił ze mną. Muszę panu wyjaśnić, że jestem dalekim krewnym Marion i jedynym dziedzicem jej majątku. Dlatego zaproponowała mi tę posadę.

— A ten worek, który zostawiłem obok windy... co pan z tym zrobił? — wyjąkał Walter.

— Włożyłem go do pańskiego samochodu. Nick uśmiechnął się. — Teraz jestem właścicielem tej firmy i ponlewał jest wolne miejsce sekretarza, może pan odciągnąć zajmować się ekspedycją. Radziłbym panu porzyść się tego worka w ciągu dziesięciu minut, żeby nie wywołać skandalu. Sądzę, że to wszystko nie zaszkodzi naszej przyjaźni, drogi Walterze!

— Nicolas! — Pot zalewał twarz Waltera. — Czy mam rozumieć, że zabiłeś dziś wieczorem Marion?

— Przecież pan o tym mówił ze mną. Muszę panu wyjaśnić, że jestem dalekim krewnym Marion i jedynym dziedzicem jej majątku. Dlatego zaproponowała mi tę posadę.

— A ten worek, który zostawiłem obok windy... co pan z tym zrobił? — wyjąkał Walter.

— Włożyłem go do pańskiego samochodu. Nick uśmiechnął się. — Teraz jestem właścicielem tej firmy i ponlewał jest wolne miejsce sekretarza, może pan odciągnąć zajmować się ekspedycją. Radziłbym panu porzyść się tego worka w ciągu dziesięciu minut, żeby nie wywołać skandalu. Sądzę, że to wszystko nie zaszkodzi naszej przyjaźni, drogi Walterze!

— Nicolas! — Pot zalewał twarz Waltera. — Czy mam rozumieć, że zabiłeś dziś wieczorem Marion?

— Przecież pan o tym mówił ze mną. Muszę panu wyjaśnić, że jestem dalekim krewnym Marion i jedynym dziedzicem jej majątku. Dlatego zaproponowała mi tę posadę.

— A ten worek, który zostawiłem obok windy... co pan z tym zrobił? — wyjąkał Walter.

— Włożyłem go do pańskiego samochodu. Nick uśmiechnął się. — Teraz jestem właścicielem tej firmy i ponlewał jest wolne miejsce sekretarza, może pan odciągnąć zajmować się ekspedycją. Radziłbym panu porzyść się tego worka w ciągu dziesięciu minut, żeby nie wywołać skandalu. Sądzę, że to wszystko nie zaszkodzi naszej przyjaźni, drogi Walterze!

— Nicolas! — Pot zalewał twarz Waltera. — Czy mam rozumieć, że zabiłeś dziś wieczorem Marion?

— Przecież pan o tym mówił ze mną. Muszę panu wyjaśnić, że jestem dalekim krewnym Marion i jedynym dziedzicem jej majątku. Dlatego zaproponowała mi tę posadę.

— A ten worek, który zostawiłem obok windy... co pan z tym zrobił? — wyjąkał Walter.



## Lewym okiem

### ROZWIJAJMY USŁUGI

Nie jest zbyt odkrywczym stwierdzenie, że organizacja usług nie nadąża za zapotrzebowaniem społecznym, że sieć punktów usługowych, obwieszonych dumnymi hasłami o świadczeniu i o ludności, wykazuje wielkie luki, rwie się i strzępi, nie mówiąc o tym, że niektórych specjalności w ogóle nie świecą szukać by na próżno.

Weźmy na przykład branżę śmiechotechniczną. Konia z rżędem temu, kto wskaże adres punktu, wykonującego naprawy i renowacje śmiechu. A sytuacja nabrzmiewa i należy poki czas bić na alarm.

Wiadomo, że śpieszą się i spóźniają zegarki. Wiadomo, gdzie się z nimi udać celem podregulowania. A jeżeli komuś się spóźnia śmiech? Zart, dowcip, paradoks — i w ogóle powód do śmiechu dawno już przebrzmiał, głupstwem zwiędło i nikt go nawet pamię-

tać nie chce, a nagle ktoś wybucha śmiechem, chichocze jak głupi, palcem pokazuje, manifestując swoją nad głupstwem suwerenność, swój dystans, swoje „ja wiem lepiej”. Co komu z takiego śmiechu, z takiego ośmieszania a posteriori? Spóźniony śmiacz nie wywoła reakcji łańcuchowej, nie wywoła żadnej reakcji, czasem ten i ów tylko podniesie wysoko brwi w geście zgorzsnego zdziwienia. Jeżeli śmiech ma się na coś przysłać, musi chodzić dobrze.

A cóż, jeżeli się śpieszy? Ledwie coś się zaczęło dziać i nikt nie wie co z tego wyniknie, ledwie ktoś zapyta: „a znacie panowie to...” — i przyciszy głos do tej tonacji, w której opowiada się kawały strzygąc na boki oczami, ledwie aktor czy w ogóle ktoś grający rolę uczyni pierwszy gest i robi pierwszą minę w stronę publiczności — już ktoś o śpieszącym się śmiechu wybucha perlistą kaskadą na ha ha i hi hi, trąca w bok sąsiadów żądając natychmiastowego wtórowania, podśmiewa się i zaśmiewa, uśmiecha i przyśmieszka. Powiadają o takim, że śmieje się nie wiedząc z czego. Nie jest to bardzo pochlebna opinia i człowiek taki niezłotocznie powinien zgłosić się do odpowiedniego punktu usługowego — ale gdzie go znaleźć? Gdzie — w spółdzielczości, w sektorze prywatnym, w podziemiu gospodarczym?

Wiadomo, że dokładny, celny śmiech jest aparatem niezmiernie precyzyjnym. Nie ma co marzyć o zdobyciu części zamiennych w kraju nie wyrabiają, za granicą także nie. Renowacja może więc polegać wyłącznie na starannym oczyszczeniu z nalotów nadmiernej, chorobliwej ostrożności, na usunięciu zlogów żbneagacji, obojętności i wszytkojednictwa, nadętej

a pustej w środku powagi. Ważne jest przy tym nie tylko utrzymanie śmiechu w stanie czujnej, punktualnej wrażliwości na rzeczywistość, ba także — a może przede wszystkim — nadanie mu właściwego brzmienia, sensowności, tonacji nie zatracającej fałszem, hipokryzją, pochlebstwem. Jakże rzadkim specjalistą stał się w naszych czasach prawdziwie uzdolniony stroiciel tak pięknych, kameralnych instrumentów, jak lira, lutnia i fletnia!... O ile trudniej jednak spotkać człowieka o genialnym uchu, obdarzonego idealnym, wyczulonym słuchem, który by potrafił rozeznac w każdym śmiechu jego przyrodzone, spontaniczne brzmienie, odróżnić w nim brzydkie naleciałości wychowania i tresury, umiał oddzielić ziarno od plewy, radość od wazeliny, ironię od zawiści, wesołość od szmirowanej maski...

Czytamy nieraz w prasie o szerzącej się wadzie płaskostopia, o masowym występowaniu próchnicy zębów i niedomagań wzroku. Jeżeli równie masowo stępkamy się z ludźmi, których śmiech nawet dla niesfachowca brzmi fałszywie, śpieszy się lub spóźnia, jest nieelegancki, a czasem po prostu pozbawiony motywów — to czy powodów takiego stanu rzeczy należy szukać w niedostatecznej ilości renowacyjnych punktów usługowych, w narzbyt przereźdżonych szeregach fachowców, do których by można udać się po pomoc — czy też może w tym, że wszyscy naraz oddali swe śmiechy do naprawy, i to w punktach ekspresowych, i teraz czekają, bezradni, osowiali, spychani na coraz dalsze terminy wykonania usługi?

ĆWIEK